



Zane Grey

RANCZO JEJ WYSOKOŚCI



BIBLIOTEKA
SZLAKIEM PRZYGODY
ANDRZEJA

46

ISBN 978-83-66980-84-6

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Zane Grey

RANCZO JEJ WYSOKOŚCI
kontynuacja powieści *Blask gwiazd Zachodu*



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jęźdźców krainy purpurowej bylicy*. Powieść okazała się bestsellerem – po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni mieszkaniec równin*, a kariera Greya nabrała niepokonowanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.

Zane Grey



RANCZO JEJ WYSOKOŚCI
kontynuacja powieści *Blask gwiazd Zachodu*

Przełożyła i przypisami opatrzyła Joanna Hacking

**Sto dwudziesta pierwsza publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Czterdziesty szósty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Majesty's rancho

© Copyright for the Polish translation by Joanna Hacking, 2023

13 kolorowych ilustracji: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2023

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2023

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-66980-84-6

Rozdział I

Lance Sidway dźwignął się z kamiennych schodów Muzeum Historii Naturalnej. Zaśmiał się ponuro, gdy zdał sobie sprawę, że to jego trzecia wizyta w tym miejscu. Podobnie jak podczas swych dwóch poprzednich wycieczek, spacerował po korytarzach, oglądając wystawione okazy dzikich zwierząt. Uwielbiał czworonożne stworzenia i choć serce ścisnęło mu się na widok tych pozbawionych życia atrap tego, co kiedyś było wolnymi bestiami, doświadczał uczucia ucieczki i pokoju, którego nie czuł od czasu, gdy opuścił swój dom w Oregonie¹ dla Hollywood².

Teraz już wiedział, że jego wspaniałego konia Umpqua³ czekała przyszłość w filmowych studiach, a może nawet i jego samego. Bał się jednak zostać aktorem i nienawidził dublować przystojnego kowboja Apollosa na ekranie, a kręcenie się po studiach jedynie w charakterze właściciela wspaniałego wierzchowca, pozwalając ognistememu i temperamentnemu zwierzęciu zarabiać na niego, nie odpowiadało jego wizji kariery. Tak naprawdę nigdy nie pragnął przyszłości w Hollywood w takich okolicznościach, a i pilna potrzeba zarobienia pieniędzy minęła. Nance, jego młodsza siostra, wróciła do zdrowia po operacji i miała wkrótce wyjść za mąż. Tak więc, rzeczywiście, popyt na Umpqua był taki, że przynajmniej Lance miał wystarczającą ilość gotówki, by przeżyć do czasu, aż znajdzie bardziej odpowiadającą mu pracę.

¹ *Oregon* – stan w północno-zachodniej części USA, nad Oceanem Spokojnym.

² *Hollywood* – dzielnica miasta Los Angeles, w USA, w stanie Kalifornia.

³ *Umpqua* – grupa kilku odrębnych jednostek plemiennych rdzennych Amerykanów z The Umpqua Basin (Dorzecze Umpqua) w południowo-środkowym Oregonie w Stanach Zjednoczonych; nazwa ta sięga jeszcze początku 1800 roku, kiedy plemię Coquille rdzennych Amerykanów zamieszkiwało ten obszar; inne teorie donoszą, że słowo to oznacza „grzmiącą wodę”.

Sklaniał się ku wyprawie konnej przez południową Kalifornię¹, przez Arizonę², być może do Nowego Meksyku³. Oczywiście było, że interes z hodowlą bydła popadł w ruinę, ale pustynne pasma górskie i purpurowe wyżyny Arizony, albo porośnięte srebrną trawą doliny Nowego Meksyku, o których tak dużo czytał, byłyby o wiele dziksze i zdecydowanie bardziej rozległe i bezgraniczne, niż stare pastwiska, które zjeździł, i na pewno znalazłaby się tam jakaś robota dla takiego krzepkiego faceta, który lubił zwierzęta.

Było coś ekscytującego w tej myśli o nowej przygodzie, czekającej na niego w tym trudnym kraju, ale prawda była taka, że Hollywood nie chciało go tak łatwo wypuścić ze swych łap. Ale dlaczego? Lance wiedział, że nie ma ambicji, by grać w filmach, a mimo to przyznawał się do fascynacji wesołym, żywym wirem świata obrazu. Sprowadzenie tego do pokusy kobiecego uroku wydawało się kolejnym krokiem w dobrym kierunku. Lance niepewnie przyznał się przed sobą do swych obaw, że jego słabość do płci pięknej była większa niż przeciwna. Ale do cholery! Pomyślał w samoobronie, tylko pomyślał o tysiącach hollywoodzkich statystów, i o tysiącach dziewcząt, które nawet nie mogą znaleźć pracy jako statystki, wiele z nich niesamowicie pięknych, a wszystkie ładne! Dlatego tak ciężko było wyjechać. Z nostalgią wspominał trzy dziewczęta, których to wdziękom uległ – Corette, i Virginie, i wreszcie Maurine. Dopiero co zeszłej nocy Maurine spojrzała na niego ciemnymi, spokojnymi oczami, lekko błada.

– Lance, byłeś dla mnie wspaniały – powiedziała. – Mogłabym cię okłamać, ale nie zrobię tego. Wreszcie dostałam propozycję. Wiesz, co to oznacza. Muszę odnieść sukces... Oczywiście, że cię kocham. Trzymaj się mnie, kochanie, a kiedy zostanę gwiazdą...

Takie było Hollywood, ale Lance Sidway nie był taki. Dostrzegł to teraz, w tak ważnej chwili, i wydało się to czynnikiem decydującym.

¹ *Kalifornia* (ang. California) – stan w zachodniej części USA, nad Oceanem Spokojnym.

² *Arizona* – stan w południowo-zachodniej części USA, przy granicy z Meksykiem.

³ *Nowy Meksyk* (ang. New Mexico) – stan w południowo-zachodniej części USA, przy granicy z Meksykiem.

– Znów tak będzie – mruknął Lance ze smutkiem – a może być jeszcze gorzej. Mam za swoje... To koniec!

Skoczył na równe nogi, by popatrzeć na zamglone Sierra Madre¹, barierę, za którą leżała niespokojna kraina. Przechadzał się po długim różanym tarasie, czuły na kolor i zapach kwiatów. Były piękne, ale on najbardziej lubił te dziko rosnące. Tymczasem nie dawała mu spokoju myśl, jak wyjechać na Umpqua z Kalifornii. Koń był gruby i wymagał pracy. Nie przejmował się zbyt asfaltowymi drogami; jednak z Palm Springs² na południe Lance chyba powinien trzymać się głównie miękkiego podłoża. Będąc w formie, Umpqua potrafił przejechać pięćdziesiąt mil³ bez mrugnienia okiem.

Lance wyszedł z muzealnego parku i po chwili, idąc dalej, znalazł się na skraju uniwersyteckiego kampusu⁴. Widoczni byli studenci obojga płci, niektórzy rozmawiali, stojąc w grupach, inni przemierzali się z książkami pod pachami. Ci chłopcy i dziewczęta, z odkrytymi głowami, w kolorowych swetrach, młodzi i pełni życia, wzbudzali u Lance'a wspomnienia i żal. Po ukończeniu szkoły średniej przez prawie rok uczęszczał do college'u⁵ w Corvallis⁶, i poza niedolami, i utrapieniami studenta pierwszego roku, które, gdy spoglądało się na nie wstecz, wydawały się teraz banalne. Dobrze radził sobie w nauce, a jeszcze lepiej w lekkoatletyce, ale przerwały to kłopoty finansowe i choroba Nance... przez które wyjechał do Hollywood. Lubiał tę studencką atmosferę. Gdyby tylko jego ojciec nie zmarł, osierociwszy jego i Nance! Lance otrząsnął się ze smutku. Jego siostra była zdrowa – szczęśliwa – a on był posiadaczem najwspanialszego konia na Zachodzie i na tym samym Zachodzie czekała na niego przygoda. Miał szczęście. Lance pomyślał, że powinien o tym pamiętać! Docierając do skrzyżowania, zatrzymał się, by nacieszyć się jeszcze

¹ *Sierra Madre* – łańcuchy górskie w południowej części Ameryki Północnej, w Meksyku, należące do system Kordylierów.

² *Palm Springs* – miasto w USA (stan Kalifornia), na wschód od Los Angeles.

³ *Mila* (ang. mile) – metrologiczna jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich; jedna mila to 1,61 km.

⁴ *Kampus* (ang. campus) – teren anglosaskiej szkoły wyższej wraz z zabudowaniami.

⁵ *College* (ang.) – jednostka organizacyjna uniwersytetu w krajach anglosaskich.

⁶ *Corvallis* – miasto w Oregonie, w USA.

eksplozją kolorów na kampusie. Przeszedł przez ulicę w kierunku rzucających przyjemny cień drzew. Po tej stronie było więcej studentów. Słyszał przekomarzające się, dowcipkujące głosy i radosny, donośny śmiech.

Przeraźliwy dźwięk syreny przyciągnął zarówno jego uwagę, jak i studentów. Odwracając się, Lance zobaczył lśniący *roadster*¹, wyłączający się zza rogu głównej ulicy. Za kierownicą siedziała dziewczyna z odkrytą głową, o włosach koloru złotej przędzy. W tym momencie cofnęła wyciągniętą lewą rękę. Za nią pędził samochód, trąbiąc głośno. Dogonił ją. Jeden z dwóch pasażerów, z pewnością policjantów, wrzasnął, żeby się zatrzymała. Młoda kobieta nie spieszyła się z tym, i minawszy Lance'a, zatrzymała się przy pierwszych drzewach, gdzie zgromadziło się z pół tuzina studentów. Lance nie miał daleko, by do nich dotrzeć i ruszył w ich stronę, zaciekawiony, z oczekiwaniem, trochę zły na funkcjonariusza policji za ten jego opryskliwy i szorstki wrzask. Lance zdążył na czas, by usłyszeć:

– Dlaczego się nie zatrzymałaś?

– Zatrzymałam się – odparła spokojnie dziewczyna.

Lance dołączył do grupy studentów, którzy zbliżyli się do krajeźnika. Ze wszystkich stron kampusu napływali nowi, niektórzy nawet biegli. Wtedy Lance zobaczył dziewczynę z bliska. Wiele razy w filmowych studiach i w plenerach robiło mu się gorąco na widok pięknych kobiet, ale nigdy nie widział gwiazdy filmowej, która jego zdaniem mogłaby dorównać urodą tej dziewczynie.

– Wasza Wysokość², czego chcą ci glińiarze? – zapytał wysoki młodzieniec, występując do przodu.

– Nie jestem pewna, Rollie – odpowiedziała ze śmiechem – ale chyba chcą mnie przegonić z ulicy.

– O co chodzi, panie władzo?

– To nie twoja sprawa, *freshie*³, ale przekroczyła prędkość – odparł ten drugi, krzepki i przysadzisty mężczyzna o czerwonej twa-

¹ *Roadster* (ang.) – dwumiejscowe auto o sportowym charakterze, bez stałego dachu.

² *Wasza Wysokość* – w oryginale: *Majesty*.

³ *Freshie* (ang.) – uczeń pierwszej klasy liceum lub student pierwszego roku college'u, pierwszorzecznik, pierwszak.

rzy i zaciśniętych wargach, wysiadając z radiowozu. – Znam ją, a ona zna mnie.

– Tak? – zapytał beczelnie student.

– Tak! Weszła w zakręt czterdziestką piątką¹ na liczniku i nawet nie wyciągnęła ręki.

– Panie władzo, my widzieliśmy, jak skręcała i nie jechała nawet dwadzieścia na godzinę – wtrącił się inny student.

– Opuśćcie nam, dzieciakom, co? – spytał jeszcze inny, żałośnie.

– Mało macie roboty z pijanymi kierowcami?

– Sam wygląda, jakby był wypity.

Wesołe gwizdy i buczenie dobiegały z tyłu kręgu studentów, zbliżając się i rosnąc w siłę. Przeczuwali, że coś się święci. Lance doszedł do wniosku, że policjanci wyczuli coś nieprzychylnego i nieprzyjaznego skierowanego w tym momencie w ich stronę.

– Wystaw dziewczynie mandat, Brady, i zwijajmy się stąd – poradził siedzący za kierownicą funkcjonariusz.

W pierwszej linii studentów podniosła się burza protestów. Rollie, który najwyraźniej wyróżniał się na kampusie, krzyknął, żeby się zamknęli.

– Zjeżdżajcie ofermy! – zawołał ostro. – Kręcicie się tu i dręczycie nas, ale dajcie spokój dziewczynom. Zrozumiano? Nie będziemy tego tolerować.

– Zamknij się albo cię aresztuję – rzucił ze złością Brady, pisząc wezwanie do sądu.

– Madge, jak to było? Dodałaś gazu? – zapytał Rollie.

– Nie tym razem, Rollie, przysięgam – odpowiedziała. – Uciekłam mu kilka dni temu, ale dzisiaj nie jechałam nawet dwadzieścia na godzinę.

– Powiesz to sędziemu – rzekł chłodno Brady. – A ty utrudniasz funkcjonariuszowi prawa wykonywanie czynności.

– Prawo? Bzdura! Tylko, gdy nic z tego nie masz. Wynos się stąd do cholery!

¹ Czterdzieści pięć mil na godzinę.

Tłum studentów ruszył gwałtownie naprzód przez chodnik i ściągnął funkcjonariusza ze stopni samochodu. Ten popełnił błąd, unosząc do góry pięść, a uwolniwszy się, krzyknął do swego towarzysza:

– Wezwij posiłki!

W tym momencie rozległ się ryk motoru policjanta, przed którym rozpierchła się grupka studentów. Brady ochryple powtórzył mu rozkaz i wraz ze swym towarzyszem, obaj wymachując rękoma, rozganiali tłumek.

Lance został zepchnięty z chodnika wraz ze studentami, a wszyscy oni byli rozgniewani i gotowi do rozróby. Rollie wydawał się być jedynym, który traktował tę sprawę poważnie. Dziewczyna, Madge, zachowywała się tak, jakby bawiła ją ta cała sytuacja, ale jej fiołkowe oczy płonęły. Rollie wskoczył na stopnie nadwozia, pochylił się nisko i powiedział coś do niej cicho. Wtem Brady odwrócił się, czerwony na twarzy, wściekły i szarpnięciem ściągnął chłopaka w dół.

– Młoda damo, odsuń się od kierownicy – rozkazał, otwierając drzwi. – Zabiorę cię na małą przejażdżkę.

– To ci się tylko tak wydaje – odezwała się głosem dźwięcznym jak dzwonek, po czym trzasnęła drzwiami.

Brady skierował swą uwagę na szarżujący tłum studentów, którzy pchali policyjny samochód w dół ulicy, a druga banda, wrzeszcząc jak Indianie, rzuciła się w stronę furgonetki sprzedawcy owoców i warzyw, który akurat się napatoczył. Zatrzymali go i rozsypali pomarańcze i pomidory. Potoczyły się złotymi i czerwonymi strumieniami, tworząc na ulicy kopce. W następnej chwili powietrze wypełniły kolorowe pociski. Ich celem był urągający im pojazd prawa. Tłuczenie szyb i brzęk szkła mieszały się z szyderczymi wrzaskami agresorów. Wówczas kierowca, który stanowczo próbował odpędzać studentów od Brady'ego, odwrócił się i ryknął na atakujących. W tym samym momencie ogromny, mięsisty pomidor wyładował mu na twarzy. Wywołało to okrzyki nieludzkiej wręcz radości ze strony zgromadzonych na ulicy sił zbrojnych. Grad pomarańczy i pomidorów nie tylko powstrzymał jego wojowniczy zapał, ale oślepił go, zasypał, i powalił na ziemię. W tym momencie wycie policyjnych syren oznajmiło nadejście posiłków.



W tym samym momencie ogromny, mięsisty pomidor wylądował mu na twarzy.

Lance został przy samochodzie dziewczyny, gdy tymczasem studenci, już teraz w setkach, wysypali się chaotycznie na ulicę, pokrzykując przy tym dziko. To, co pozostało z imponującego zapasu pomarańczy i pomidorów sprzedawcy, jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki zniknęło z jego furgonetki, by szybko przybrać formę kolorowej barykady, na którą szarżowali policjanci. Przez jakiś czas udało się ich powstrzymać, ale gdy zapasy amunicji zaczęły maleć, parli naprzód i w końcu wypchnęli studentów z ulicy na kampus. Nie był to jednak atak, jakiego Brady i jego człowiek doświadczyli kiedykolwiek wcześniej. Studenci bawili się doskonale, a funkcjonariusze, choć wyraźnie zdegustowani i rozszłoszczeni, nie uciekali się do przemocy. Przeciw trzystu szalonym studentom nie mogli zrobić nic poza pouczeniem.

Rozbawionego całym występem Lance'a, przeraził nagle krzyk dziewczyny w samochodzie. Odwróciwszy się, zeskoczył z krawężnika. Brady otworzył drzwiczki samochodu.

– Przesuń się, Blondyneczko – rozkazał, kładąc zuchwale rękę na jej ramieniu.

– Ty wstrętny draniu! Zabieraj te łapy!

Lance stwierdził, że funkcjonariusz przekroczył swe uprawnienia, zachowując się w ten sposób. A jeśli nawet tak nie było, to przejmujący wybuch dziewczyny i błysk w jej wspaniałych oczach w zupełności wystarczyły Lance'owi.

– Zabieram cię na posterunek – oświadczył Brady, popychając ją.

– Nie, nie zrobisz tego! – krzyknęła, uruchamiając silnik. – Wy-siadaj albo rozsmaruję cię na ulicy... Jadę do...

Lance strącił rękę policjanta z samochodu, a gdy ten odwrócił się zaskoczony, Lance zadał mu niezbyt delikatny cios w jego dość po-każny brzuch. Odgłos uderzenia przypominał ten w bęben, a po nim nastąpiło głośne sapnięcie. Brady zgiął się w pół. Lance wyciągnął swą potężną dłoń i ściągnął go ze stopni pojazdu, a potem, bezwzględny, brutalnym uderzeniem pięści w wykrzywioną spazmem twarz, powalił zręcznie policjanta na ulicy. Równie szybko Lance wskoczył do sa-mochodu.

– Gaz do dechy! – krzyknął.

Ledwie wypowiedział te słowa, gdy mały samochód wystrzelił jak strzała przed siebie. Lance uderzył kolanami o deskę rozdzielczą. Na przeraźliwy dźwięk klaksonu kilkoro studentów uskoczyło z drogi, by ratować życie. Samochód pokonał ulicę, zawrócił na jej rogu i pędził naprzód, zataczając szybkie półkola. Lance zgubił kapelusz, a kiedy samochód otarł się o tramwaj, włosy stanęły mu dęba. Choć był przerażony jak jeszcze nigdy w życiu, stłumił kowbojski okrzyk w gardle, w uszach szumiała mu krew. Ogarnęła go dzika radość. Samochód zjechał z arterii w cichą uliczkę, na której domy migały mu przed oczami. Jeszcze jeden skręt, potem przecznica za przecznica po ruchliwej ulicy, następnie zmniejszenie prędkości – i w reszcie miejsce parkingowe!

– Uff! – wykrzyknął Lance, łapiąc oddech. – Zgubilibyśmy ich, gdyby nas ścigali.

– To było świetne, nieprawdaż? – dołączyła się dziewczyna, całkowicie spokojna, po czym zaśmiała się cicho.

– Wszystkim to opowiem. Umiesz prowadzić samochód – nie wytrzymał Lance, odwracając się, by na nią spojrzeć.

Opanowanymi ruchami pięknych dłoni, zakończonych kształtnymi, pomalowanymi na koralowo paznokciami, wyciągała z torebki papierośnicę ze złotym monogramem.

– Dzięki. Papierosa?

– Nie krępuj się.

– Przestraszyłam cię?

– Tak, ale to była świetna przejażdżka.

– No cóż, tak czy inaczej załatwiliśmy tych gliniarzy, a teraz jesteśmy tylko dwoma zbiegami wyjętymi spod prawa.

Przez cały ten czas Lance wpatrywał się w dziewczynę, świadom wzbierającej się w nim radości i uniesienia. Odnajdywanie przyjemności w pięknie kobiet było jedynym długiem, jaki zawdzięczał Hollywood. To wizualne doznanie wydawało się wzmacniać i potęgować wszystkie pozostałe.

– Och, twoja ręka! – zawołała z nagłą troską.

Lance zorientował się, że otwiera i zamyka prawą dłoń, której kostki były posiniaczone. Ręka była duża i brązowa, pasujący do jego muskularnego nadgarstka.

– Słukłem pięść... trochę – powiedział niezręcznie. – Nic wielkiego.

– Nie? Ciekawe, co pomyślał sobie ten gliniarz. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Patrzałam, gdy go załatwiłeś. Podobało mi się.

– Cieszę się – odparł Lance, uśmiechając się do niej szeroko.

– Widzisz, uwziął się na mnie. Zatrzymał mnie już wcześniej. Ostatnim razem zrobiłam do niego słodkie oczy, i pozwoliłam mu pomyśleć, że... Miałam randkę i byłam spóźniona. Następnym razem, gdy mnie zauważył, uciekłam mu. Dziś musiał się na mnie zacząć.

– To o to chodziło? Głupek! Dlatego cię zatrzymał. Przykro mi, ale musiałem mu przyłożyć... Widziałem cię, gdy on...

– Nie przepraszaj. Jestem twoją dłużniczką do końca życia. Rollie się wściekł, ale nie odważyłby się na coś takiego. Nie jesteś studentem?

– Nie. Byłem jeden rok w Corvallis. Wtedy... ale to cię nie zainteresuje. Ja... ja lepiej już sobie pójdę.

– Nie idź jeszcze – odpowiedziała, kładąc mu dłoń na rękawie. – Jestem zainteresowana. Chyba nie zostawisz mnie i nie odejdziesz po takiej romantycznej przygodzie, co?

– Cóż, panno Madge... Ja... ty... oczywiście, dama decyduje.

– I tak zawsze powinno być. Opowiedz mi o sobie. Założę się, że jesteś z Hollywood. Ten twój wygląd i włosy.

– Tak? Nie masz chyba na myśli aktora filmowego? – spytał szybko Lance.

– Nie? Szkoda! Jesteś wystarczająco przystojny, by nim być. Moje siostry ze stowarzyszenia¹ będą zazdrosne. Zaproszę cię do naszego domu, żebyś je poznał.

– Byłoby świetnie, ale obawiam się, że to niemożliwe. Dziękuję.

– Nie jesteś żonaty?

– Nie.

– Ani zakochany. Wiem, jak ta choroba ich toczy – odpowiedziała nonszalancko. – Przyjdiesz?

¹ Stowarzyszenie żeńskie na uniwersytecie (ang. sorority), zwłaszcza w USA.

– Jesteś bardzo miła. Ja... ja muszę odmówić.

– No cóż, coś takiego, odmowa ze strony amanta, który się o mnie bił...! To się jeszcze nigdy nie zdarzyło, przynajmniej nie do tej pory... Zawsze pytają: „A może randka?” Co robisz w Hollywood?

– Posiadam konia. To on gra w filmach, nie ja. Kilka razy na nim jechałem, dublując dla aktorów. Nienawidziłem tego. To dla mnie prawie tak trudne, jak pozwalanie im jeździć na nim.

– Cudowny koń. Jakie to ekscytujące! Kocham konie.

– Równie mocno jak samochody?

– Bardziej. Mamy ranczo i kilka arabów¹... Jak on ma na imię?

– Umpqua.

– Umpqua? To musi być indiański koń?

– Jest. Jego imię znaczy: szybki.

– Czyli potrafi biegać?

– Biegać! Posłuchaj, młoda damo, Umpqua jest szybki jak wiatr.

– Założę się, że któryś z moich koni jest w stanie go pokonać.

Lance się roześmiał. To była najwyraźniej prawdziwa dziewczyna z Zachodu, ale nie umniejszało to jej olśniewającego uroku.

– Jest ładny, piękny, wspaniały, czy jaki? – ciągnęła.

– Wszystko razem. Umpqua jest arabskiej krwi – oparł Lance, a jego entuzjazm rósł wraz z jej zainteresowaniem. Wydawało się, że stawia to go na jej poziomie. – Jest duży i smukły. Czarny centkowany z białymi pęciami i pyskiem. Ma jasne łagodne oczy. Energiczny i śmiały, ale spokojny i opanowany. A ta hollywoodzka kariera nie wyszła mu wcale na dobre. Właśnie dlatego zamierzam wszystko rzucić i opuścić to miejsce. Ump jest za dobry, zbyt wdzięczny na Hollywood.

– Kochasz go, prawda? – spytała cicho, jakby rozumiała.

– Kocham. Uratował życie Nance... Nance to moja siostra. Do stałem go, gdy był jeszcze źrebakiem. To rasa hodowana przez kowbo-

¹ *Koń arabski* – arab, jedna z najstarszych ras koni gorącokrwistych, uważana często za kwintesencję piękna konia; konie arabskie pojawiły się na Półwyspie Arabskim co najmniej 2500 lat temu; są bardzo wytrzymałe, niewymagające hodowli i szybkie w galopie; na długich dystansach nie mają sobie równych; są inteligentne, życzliwe, wrażliwe i przywiązane do człowieka. „Araby” to konie o żywym temperamentie, lecz zawsze posłuszne.

jów. Na pastwiskach Oregonu w pobliżu Bend¹. Żaden koń nie był lepiej chowany przez dziesięć lat... No cóż, Nance i ja zostaliśmy sami. Straciliśmy ranczo. Musiałem rzucić college. Ona zachorowała. Tylko specjalna terapia – operacje i takie tam – mogły ocalić jej życie. Dlatego, żeby zarobić pieniądze, przywiozłem Umpqua do Hollywood, gdzie zapewniono mi pracę. Czy dobrze mu poszło? Jeszcze jak!

Oczy dziewczyny rozbłysły z zainteresowaniem.

– Wspaniale. A twoja siostra Nance?

– Już teraz dobrze. Wkrótce wychodzi za mąż.

– Świetnie...! Och, jakże chciałabym zobaczyć Umpqua, ale się nie osmielę. Zaraz chciałabym go kupić. Zawsze próbuję kupić wszystko, co mi się podoba. Ty byś mnie znienawidził. To by nie wyszło... Kowboju, wyjeżdżasz z miasta? Nie chciałbyś... czy nie moglibyśmy się znowu spotkać?

– Eee... ja... ja... mam nadzieję, że znów cię zobaczę – wyjął Lance.

– Mamy ze sobą dużo wspólnego. Konie, rancza i inne rzeczy – ciągnęła, spoglądając na zegarek. – Pomyślmy. Jeśli nie zostaną aresztowana i zawleczona do sądu, mogę opuścić zajęcia z psychologii. Powiedzmy jutro, tutaj, czternasta trzydzieści. Czy to ci odpowiada?

– Pasuje – odpowiedział Lance i otworzył drzwi samochodu, chcąc wysiąść.

– Dziękuję za wszystko. Do zobaczenia jutro. I bądź ostrożny. Nie zapominaj, że uderzyłeś policjanta. Będą cię szukać, jeśli tylko pamiętają, jak wyglądasz. Nie zapomnę ci tego.

Lance stał jak wrośnięty w ziemię, patrząc, jak połyskujący samochód i obsypana złocistymi włosami głowa znikają z pola widzenia. Spodziewając się, że z głuchym łomotem spadnie na ziemię, rozmarzył się. Unosił się w chmurach, gdy próbował złapać tramwaj jadący na zachód, a długa podróż wydawała się trwać zaledwie kilka chwil.

¹ Bend – siedziba władz hrabstwa Deschutes w stanie Oregon w Stanach Zjednoczonych i główne miasto metropolii Bend; Bend jest największym miastem w środkowym Oregonie i – niezależnie od swej średniej wielkości – de facto metropolią całego regionu.

Minął swój przystanek o jedną przecznicę, co już wróżyło, że jego głowa była zajęta czymś innym. Opuścił główną strefę budynków i skierował się w stronę wzgórz, w górę kanionu, gdzie mieszkał z człowiekiem, który wynajął mu małe pastwisko i boks dla konia. Lance wszedł do przesiąkniętej zapachem alfalfy¹ stodoły. Umpqua zarżał na niego.

– Mój Boże, Ump! – powiedział Lance, kładąc dłoń na szlachetnie wygiętej szyi i opierając policzek o lśniącą grzywę. – Wpadłem jak śliwka w kompot. Po same uszy, jak nigdy dotąd! Nie, stary druhu, nie żadna statystka, ani nawet nie gwiazda filmowa. Studentka. Kolejna blondynka, Ump! Tylko, że przy niej one wszystkie bledną... Więc to dlatego zachowywałem się jak głupi w jej samochodzie?

Kontakt z Umpquą sprowadził Lance'a na ziemię, uzmysłowił mu fakt, że opuszcza Hollywood. Wbrew swemu trzeźwemu osądowi sytuacji spotka się z dziewczyną, i będzie to jego ostatni sentymentalny gest przed wyprawą na otwarte równiny, do życia, do którego był powołany.

Lance spakował i podpisał swój ekwipunek, poszedł do ekspresowego punktu wysyłkowego i nadał go z późniejszą datą. Następnie zrealizował swój ostatni czek ze studia filmowego. Było dopiero wczesne popołudnie. Na bulwarze wstąpił do kina i obejrzał dwa seanse, których szczegóły później ledwie pamiętał. Potem poszedł do restauracji na kolację. Nawet jego zwykle duży apetyt nie powrócił, by przerwać zadumę. Przespacerował się bulwarem, wiedząc, że to ostatni raz. W Chinese odbywała się premiera, ogłaszana przez ogromne snopy światła, które rozbłyskiwały i omiały niebo. Główna ulica Hollywood płonęła kolorowymi światłami. Samochody z szumem silników przejeżdżały w tę i z powrotem, zatrzymywały się na światłach, i jechały dalej. Lance stał na rogu Vine Street, chłonąc blask, gwar, intensywne życie tego specyficznego miasta. Odczuwał lekki

¹ *Alfalfa* – amerykańska nazwa lucerny siewnej (*Medicago sativa*), rośliny z rodziny bobowatych, pochodzącej z Europy, Afryki Północnej i Azji Zachodniej, sadzonej w Ameryce, bylina wysokości 30-90 cm, o fioletowych do purpurowych kwiatach, uprawiana jako wydajna i mało wymagająca roślina pastewna.

smutek, mieszający z innymi, sprzecznymi uczuciami i do końca nie mógł ustalić jego przyczyny. Tak naprawdę, to nie chciał takiego życia. Nagle obok niego przemknęła bezszelestnie czarna lśniąca limuzyna. Lance spostrzegł przelotem uroczą, jasnowłosą dziewczynę, promienną, w bieli, opartą leniwie o ramię jej ubranego na czarno towarzysza. Takie było Hollywood. Ileż to razy Lance oglądał ten sam widok, zawsze ze skrywaną zazdrością!

Pozwolił, by ten obraz był ostatnim, który przykuł jego uwagę, wrócił do swego pokoju i poszedł spać. Leżał w łóżku, w ciemności, nie mogąc zasnąć, wspominając, zastanawiając się, czując silniej niż kiedykolwiek od czasu swej przygody.

Z ciemności wyłonił się wyraźny i urzekający obraz dziewczyny. Jej twarz unosiła się w powietrzu, niesamowicie atrakcyjna. Była owalna, otoczona lśniącymi złotymi włosami, opadającymi falami z jej szerokiego, niskiego czoła. Wąskie, łukowate brwi podkreślały duże, uważne i skupione oczy, szeroko rozstawione ciemne, w kolorze fiołków i wyjątkowo ekspresyjne, wyrażające życzliwość, i szczere zainteresowanie. Z twarzy bił blask, którego stałe i niezmiennie piękno było tylko częścią.

Lance był coraz bardziej zdumiony wyrazistością, z jaką zapamiętał twarz dziewczyny, rysa po rysie.

Lance zamknął oczy, żeby wymazać ten obraz z pamięci, ale nie miało to żadnego znaczenia. Wciąż tam była, w jego głowie, w jego sercu. Nigdy jeszcze w swym życiu nie pragnął niczego tak bardzo, jak pocałować te czerwone usta. To podziało na niego jak zimny prysznic, wyrwało brutalnie z transu. Najrozsądniej byłoby nie widzieć już więcej dziewczyny. Z ukłuciem w sercu porzucił ten pomysł. Wasza Wysokość... ten student – Rollie tak nazwał Madge. To pierwsze imię pasowało do niej. Kim była? Gdzie znajdowało się to rancho z końmi arabskiej krwi? Bez wątpienia gdzieś w Kalifornii. Ta dziewczyna miała klasę. Jednak nie było w niej ani odrobiny snobizmu. Zbyt urocza, zbyt miła i słodka, by być kokietką! Nie było takiej potrzeby. Lance przypomniał sobie jej ubranie, samochód i pomyślał, że oczywiście musiała być bogata. Przypomniał sobie też wysadzany

klejnotami monogram na jej papierośnicy, ale zapamiętał tylko literę M. Lance przewrócił się na drugi bok, próbując zasnąć. Ej, co do diabła! Zawsze zadurzał się w jakiejś ładnej damie, zwłaszcza blondynce i oto, co z tego teraz wyszło. Zapomnij o tym, kowboju i ruszaj na szlak.

Mimo to marzył o niej zaraz po przebudzeniu i zaczął chwiać się w swoim postanowieniu. Dlaczego miałby być frajerem? Była mu wdzięczna. Chciałby się dowiedzieć, jak poradziła sobie z policją i władzami uczelni. Dotrzyma słowa, przyjdzie na spotkanie i będzie na niego czekać. Lance, w jasnym świetle dnia, czyniąc ostatnie przygotowania do podróży, inaczej odnosił się już do swego postanowienia, żeby się z nią nie spotykać. Potraktować w taki sposób wspaniałą dziewczynę – wystawić ją na obiecanej randce – dziewczynę, która kochała konie – to po prostu nie było w jego stylu. I przez całą resztę poranka, w porze lunchu¹, i gdy jechał autobusem do centrum miasta, odczuwał dreszczyk oczekiwania, krew szybciej krążyła mu w żyłach, świat wydawał mu się piękniejszy.

Lance'a bardzo zaskoczył fakt, że nie od razu mógł znaleźć miejsce parkingowe, gdzie umówił się z dziewczyną. Pomyślał, że jest w takim błogim nastroju, że ledwie wie, czy idzie, czy jedzie. Dobrze, że dotarł do centrum miasta wcześniej. Pospacerował wzdłuż jednej z ulic, potem drugiej, a w końcu znalazł opustoszałą działkę, która została wykorzystana na parking. Miał jeszcze kwadrans. Parkingowy, widząc kręcącego się Lance'a, powiedział mu, że może posiedzieć w jednym z samochodów, jeśli na kogoś czeka. Lance natychmiast z tego skorzystał; w gruncie rzeczy zajął tylne siedzenie w stojącym pod budynkiem samochodzie. Lance nie wierzył, że ona w ogóle się zjawi; gdyby jednak przyszła, chciał zobaczyć ją pierwszy, zanim ona go wypatrzy. Wydawało się, że Lance'owi brakuje tu tupetu i fantazji, tak charakterystycznych dla niego podczas innych randek. To była niesamowicie ważna okazja.

Obserwował duży zegar z niebieskimi wskazówkami na wieży znajdującej się niedaleko i widząc, jak zbliża się czternasta trzydzieści, coraz bardziej zaczynały go przepelniać mieszane uczucia. Gdyby

¹ *Lunch* (ang.) – lekki posiłek spożywany w porze południowej.

przyjechała, byłby to dowód na to, że go lubi, a może... Dlaczego by nie odłożyć tego wyjazdu do Arizony? Kilka dni lub nawet tygodni nie zrobiłoby żadnej szczególnej różnicy. Gdyby chciała się z nim zobaczyć, zabrać go do domu, żeby poznał jej przyjaciółki, może pójść z nim zobaczyć Umpqua – jakże mógłby się temu oprzeć? Zawsze wariował na punkcie dziewczyn. Wobec tej byłby poważny, a dla niej była to z pewnością jedynie przelotna znajomość.

A może była jedną z tych pięknych dam, które każdego dnia potrzebowały nowego, płomiennego obiektu zainteresowań. Może lepiej poczekać, rzucić na nią okiem po raz ostatni, i nie dać jej poznać, że tu jest. Przypuśćmy jednak, że zrobił na niej duże wrażenie! To było możliwe. Raz już tak się stało. W takim przypadku nigdy nie zazna już spokoju z dala od wesołego blasku tych fiołkowych oczu.

– Boże! Ale ze mnie idiota. Po co ja tu przyszedłem – mruknął, wyrzucając sobie. – A teraz się spóźnia... Nie przyjdzie – i co, nie do śmiechu mi teraz?

Mimo wszystko nie ruszył się z miejsca, zsuwając się na siedzeniu, obserwując sokolim okiem przejeżdżające samochody, powoli poddając się bolesnym ukłuciom w sercu. Za kwadrans trzecia stracił nadzieję.

Wtedy pojawił się lśniący jasnobrazowy *roadster*. Zwolnił i skręcił. Kierownicą była dziewczyna ubrana na niebiesko. Jednak jej niebieski kapelusz nie był w stanie ukryć złotego blasku włosów. Przyjechała! Serce Lance'a podskoczyło, a krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach.

Nagle podjechał siedmioosobowy samochód o lśniącej, czarnej karoserii, zwolnił i zatrzymał się przed zakrętem. Wyskoczył z niego szczupły, dobrze ubrany młody człowiek. Zamachał gwałtownie na samochód i pospieszył w jego stronę, przesywając wzrokiem blondynkę.

Lance zauważył, że obrzuciła parking szybkim spojrzeniem. Szukała go, a rozczarowanie, które wyraziła było tak słodkie i wzruszające, że Lance już miał zamiar opuścić swoją kryjówkę, gdyby nie wyraz twarzy przybysza.

Dziewczyna zatrzymała się pod kątem do miejsca, gdzie znajdował się Lance, jakieś kilkanaście kroków dalej i ledwie zdążyła odprawić uprzejmego parkingowego, gdy ten drugi mężczyzna dogonił ją i pochylił się nad jej samochodem. Nie zdjął z głowy miękkiego szarego kapelusza. Był niezwykle przystojny, jego blada twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z marmuru, miał kwadratowy podbródek i surowe usta oraz jasnoszare oczy, ostre jak sztylety. Kogoś Lance'owi przypominał.

– Co tam, Madge, bierzesz nogi za pas? Nieźle poszłaś w zawody z moim kierowcą – odezwał się beczelnie.

– Cześć, Bee. Jak to: „biorę nogi za pas”? Co masz przez to na myśli? – spytała.

– To, że znowu próbowałam przede mną uciec.

– Nie. Spieszyłam się na spotkanie. Jestem już bardzo spóźniona. Przyszedł i poszedł. Cholerny stary Kudłacz¹! To wszystko przez niego.

– Miałaś randkę z Kudłaczem?

– Nie. Chyba tyle rozumiesz z mojego żargonu studenckiego, co ja z tych twoich gangsterskich odzywek. Kudłacz to jeden z moich profesorów.

Gangster! Lance doznał nagłego szoku. A więc o to chodziło. Ten młody człowiek był niesamowicie podobny do gwiazdora filmowego – Roberta Morrisa, w jego rolach szantażystów i oszustów. Co ta dziewczyna mogła mieć wspólnego z gangsterem? Lance pomyślał, że bardzo wiele, zważywszy na jej władczy wygląd. Wygląd kogoś, kto ma nienasycone pragnienie przygody.

– Madge, jeszcze nic nie powiedziałem – odparł mężczyzna ze śmiechem. – Pojawianie się z bukietem kwiatów nie jest w moim stylu. Co powiesz na koktajle? Zabierz mnie na przejażdżkę.

– Bee, już ci mówiłam, że mam randkę – zaprotestowała. – Ze świetnym facetem. Podoba mi się.

– Tak? Nie wygląda na to, żeby on tak samo zalał za tobą. Daruj sobie tę randkę i jedźmy gdzieś – z tymi słowami opanowany dzen-

¹ Kudłacz – w oryginale: Fuzzy-Top.

telmen okrążył jej samochód z przodu, otworzył drzwi, wślizgnął się do środka i je zatrzasnął.

– Masz tupet – rzuciła ostro.

– Czy nie powiedziałaś mi kiedyś, że właśnie to ci się we mnie podoba?

– Pewnie tak. Byłeś taki inny, Bee.

– Dzięki. Ty też różniłaś się od innych. Wszystkie kobiety to kokietki, ale ja skakałem nad tobą w wielkim stylu. I umówiłaś się ze mną, nieprawdaż?

– Tak. Kilka razy. Nie wiem, czy pamiętasz, że spotkałam się z tobą pewnego popołudnia w Grove, na herbatę. Tańczyliśmy. I jeszcze raz w Biltmore, tam się pokłóciliśmy, bo zachowywałeś się dość ordynarnie i grubiańsko.

– Już ci się znudziłem?

– Nie całkiem. Wciąż wzbudzasz dreszczyk emocji, ale jesteś trochę za... za...

– Madge, żadna babka nie wystawiła jeszcze do wiatru Bee Uhla – przerwał jej ostrym tonem.

– Panie Uhl, jest pan zagadką – powiedziała dziewczyna z uśmiechem, który rozbroił ją i przepędził jej rezerwę. – Obawiam się, że będę żałować mojej... no cóż, czy możemy nazwać to swawolną nieroztropnością? Nigdy nie uważałam cię za dżentelmena¹, ale traktowałam cię jak dobrego kumpla. Jeśli dobrze rozumiem, przyzwolenie na nasz mały flirt był twoim... Podrzucić cię gdzieś?

– Powiedz, Piękna, nienawidzisz siebie, prawda? No cóż, ja to wytrzymam, ale Honey Bee jeszcze nie skończył fruwać wokół... Wyśadź mnie na rugo Siódmej.

Po chwili już ich nie było, a Lance został, oszołomiony. Nie za bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć i dlaczego nie ujawnił swej obecności. W jednej chwili jego romans pękł jak bańka mydlana. Jednak jego ulga nie równała się żalowi. Nie zobaczy się ponownie z Madge. Ta jej najwidoczniej przyjacielska więź z gangsterem umniejszała ją nieco w jego pochopnej ocenie, ale nie wydawało się to robić

¹ *Dzentelmen* (ang. gentleman) – mężczyzna mający dobre maniery.

żadnej różnicy. Niemal solidaryzował się z Honey Bee Uhlem. To był przydomek. Lance zastanawiał się nad jego znaczeniem. Potem skierował swą życzliwość i zrozumienie na energiczną dziewczynę. Wydawało się, że pojął, iż nie jest ona w stanie dobrze się bawić, przynajmniej nie z mężczyznami, podążać za jakąkolwiek naturalną skłonnością do podboju lub kokieterii, zabawiać się i poszukiwać tego, czego i kogo chce od życia, nie zostawiając po sobie spustoszenia. Dziewczyna tak piękna jak ona, promieniująca tak intensywnym, jasnym i zgubnym urokiem, musiałaby pójść do klasztoru albo oczekiwać upadku Troi¹ ze swego powodu. Bez wątplenia tego właśnie pragnęła. Lance pogratulował sobie, że udało mu się uniknąć tego spotkania. Jednak po jakimś czasie, gdy było już za późno, żałował, że nie stało się inaczej.

Niecałe dwie godziny później Lance jechał na Umpqua tylnymi, górskimi drogami Hollywood. Był w drodze i rzucał ostatnie spojrzenia na miasto z konnej ścieżki, leżącej wysoko na pagórku. Znał każdy kawałek miękkiego terenu pod zboczem gór i unikał asfaltu, gdzie tylko było to możliwe. O godzinie dziewiątej, jakieś dwadzieścia mil od miasta, stwierdził, że na dziś wystarczy i zaczął szukać noclegu dla siebie i konia.

O świcie dotarł do San Bernardino², a następnego dnia był w Banning³. Wjazd na pustynną przełęcz był wydarzeniem. Od tej chwili mógł trzymać konia prawie całkowicie z dala od utwardzonych dróg. Tej nocy Lance był tak zmęczony, że zasnął, gdy tylko dotknął głową poduszki. Następnego ranka skierował się w dół przełęczą San Gorgonio⁴, w kierunku wielkiej szarej doliny, najbardziej wysuniętej na południe pustyni Kalifornii.

¹ *Troja* – wojna trojańska, legendarna wyprawa Achajów przeciwko Troi pod wodzą Agamemnona, której przyczyną było porwanie Heleny przez Parysa.

² *San Bernardino* – miasto w USA, w południowej części stanu Kalifornia, w obszarze metropolitalnym Los Angeles-Riverside-Orange County, u podnóża gór San Bernardino.

³ *Banning* – miasto w Stanach Zjednoczonych położone w północno-zachodniej części hrabstwa Riverside w Kalifornii.

⁴ *Przełęcz San Gorgonio* (ang. The San Gorgonio Pass) – inaczej Banning Pass, to prześć o wysokości 2600 stóp (790 metrów) na krawędzi Wielkiej Kotliny między górami San Bernardino na północy i górami San Jacinto na południu.

Znał ten jałowy kraj, był w Palm Springs i Indio¹ z wytwórniami filmowymi, a mimo to widok rozległego, pofałdowanego pustkowia z pagórkami porośniętymi *mesquite*² i równinami *greasewood*³, postrzępionymi, nagimi górami, przecinającymi zygzakami horyzont, sprawiał mu niezwykłą przyjemność. Jakże różnił się ten kraj od złotych pastwisk, ciemnych wzgórz i rwących strumieni Oregonu! Lance nie mógł wyobrazić sobie większego kontrastu. W południe czerwcowe słońce grzało już intensywnie. Pot łał się z niego strumieniami. Umpqua też był cały mokry, ale ten upał był tym, czego potrzebowali zarówno koń, jak i jeździec. Byli ociężały od nic nierobienia i objadania się. Późnym popołudniem Lance dotarł do małej stacji na drodze żelaznej powyżej Indio, gdzie zatrzymał się na noc. Spał na sianie pod topolą; a kiedy następnego ranka czerwone słońce wyjrzało znad Chocolate Mountains⁴, Lance poczuł, że komfort, wygoda i czar Hollywood pozostały daleko w tyle.

Od tego momentu rozpoczął spokojną podróż po rozległej, spieczonej słońcem pustyni. Mecca, Salton, Niland⁵ odhaczały kolejne

¹ *Indio* – miasto w Riverside County w Kalifornii, w Stanach Zjednoczonych, w dolinie Coachella w regionie Pustyni Kolorado w południowej Kalifornii.

² *Mesquite* (ang.) – jałoszyn, rodzaj rośliny z rodziny bobowatych; jego gatunki w większości rosną w Nowym Świecie – na obszarze od Stanów Zjednoczonych na północy po Patagonię na południu, przy czym najbardziej zróżnicowane są w Argentynie; drzewa i krzewy o pędach pokrytych cierniami, także z ciemnymi przylistkami lub rzadziej, bez cierni; liście – podwójnie pierzaste.

³ *Greasewood* (ang.) – żywiczny krzew karłowaty, dający twarde, żółte drewno, wykorzystywane głównie na opał; rośnie na suchych obszarach zachodnich Stanów Zjednoczonych i jest toksyczny dla zwierząt gospodarskich, jeśli spożywany jest w dużych ilościach.

⁴ *The Chocolate Mountains of California* (ang.) – Czekoladowe Góry Kalifornijskie znajdują się w Imperial i Riverside Counties na Pustyni Kolorado w południowej Kalifornii.

⁵ *Mecca* – jednostka osadnicza w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kalifornia, w hrabstwie Riverside; *Jezioro Salton* (ang. Salton Sea) – słone, endoreiczne jezioro, o zasoleniu 54 g/l, sztucznie stworzone przez California Development Company dla celów rolniczych w rejonie miasta Salton, na obszarze hrabstw Imperial i Riverside w stanie Kalifornia, USA. Jest to druga (po Dolinie Śmierci) największa depresja w USA. Historycznie nazwane jest *Cahuilla Valley* od nazwy wodza Cahuilla, plemienia Indian zamieszkującego ten teren. Jezioro Salton powstało przez przypadek w 1905 roku, kiedy to woda z rzeki Kolorado wylała ze źle zbudowanego systemu nawadniają-

przesunięcie o następną dziurkę w popręgu¹ wierzchowca. Jednak wielki koń, gdy już raz zszedł z głównej drogi i rozluźnił go upał, pokazał wkrótce swą zwinność, pewny krok i miłość do otwartej przestrzeni. Wiedział, że zmierzają na nowe, rozległe równiny i pastwiska. Lance podjął o wschodzie słońca pięciomilowy odcinek piaskowych wydmi i podziwiał gładkie kopce z ich przypominającymi nóż graniami, zaokrąglone doliny pomiędzy wydmami, roziskrzzone, opalizujące odcienie, igrające i mieniące się na piaskach. Umpqua nie lubił tego rejonu, gdzie kopyta zapadały mu się po pęciny. Kamieniste równiny po drugiej stronie, czarne i czerwone z wypolerowanym żwirem, rzadkie kępki *greasewood* i kaktusów, wulkaniczne szczyty, i w końcu mroczna, porośnięta drzewami droga do rzeki Kolorado² – to wszystko sprawiało, że Umpqua pokonywał ziemię swobodnym krokiem. Pierwsze spojrzenie Lance'a na czerwoną rzekę uzasadniało to, czego się spodziewał – ponurą, wirującą błotnistą otchłanią, nieprzyjazną dla konia i jeźdźca. Za to Yuma³ wydała się Lance'owi całkiem przyjemna, z szeroką główną ulicą i jasnymi światłami, roslymi Indianami i bezszelestnie poruszającymi się Meksykanami. Znajdował się po drugiej stronie rzeki, a to była Arizona.

Lance obudził się o świcie w tej nowej rzeczywistości. W drodze znów wydawało mu się, że Arizona eksplodowała nad nim oslepiającym blaskiem światła słonecznego, które rozlało się po rozległych pustkowiach jałowej ziemi i skąpych kępek trawy, łańcuchach postrzępionych górskich szczytów, uśpionych o wschodzie słońca, i mrocznych płaskowyżach i skarpach w oddali, i upiorach fioletowych kopuł niesamowicie mglistych. Lance był człowiekiem otwartych przestrzeni, ale te wielkie odległości, ten bezmiar, ten ogrom, te bezkresne pre-rie pociągały go, a jednocześnie odpychały. Jechał naprzód, a kurz, upał i wiatr były jego udziałem. Rancza, stacje paliw, wioski rozciąga-

cego California Development Company; *Niland* – jednostka osadnicza w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kalifornia, w hrabstwie Imperial, nad jeziorem Salton Sea.

¹ *Popręg* – podbrzusznik, pas umożliwiający przymocowanie siodła na grzbiecie konia.

² *Rzeka Kolorado* (ang. Colorado River, hiszp. Rio Colorado) – rzeka w USA (stany: Kolorado, Utah, Arizona) i Meksyku.

³ *Yuma* – miasto w USA (stan Arizona), przy ujściu rzeki Gila do Kolorado.

ły się samotnie po pustyni. Stracił rachubę dni i mil za Yumą, nim dotarł do Florence¹. Tombstone² ze swymi zachowanymi budynkami z trudnych czasów Dzikiego Zachodu, tętniące życiem Bisbee³ z wielkimi kopalniami, Douglas⁴, przedsiębiorcze i postępowe miasto leżące na długiej drodze Lance'a przez południową Arizone. Miał zamiar zjechać z głównej drogi i linii kolei żelaznej gdzieś za Douglas w coraz bardziej surowe, wyboiste i piękne doliny arizońskiej krainy. Jednak posiadane przez niego fundusze, które, jak sądził, miały starczyć na znacznie dłużej, skurczyły się niemal do zera, więc musiał teraz zatrzymać się i poszukać pracy. Wskazany byłby też odpoczynek dla wierzchowca. Lance znalazł Meksykanina, który posiadał za miastem małe pastwisko i zostawił tam konia. W razie potrzeby mógłby zastawić swój zegarek lub broń, ale zanim się do tego ucieknie, chciał spróbować znaleźć pracę.

Lance bezskutecznie zaczął mężczyzn na stacjach benzynowych i w sklepach. Chciał spotkać kowboja, a było to niesłychanie trudne. Pewien człowiek, najwyraźniej hodowca bydła, zaśmiał się opryskliwie:

– Synu, ten rodzaj dwunożnego stworzenia dawno zniknął już z prerii.

– Co pan powie. Dlaczego? – spytał Lance, zaskoczony.

– Chyba przez ciężkie czasy. Na północ stąd jest trochę bydła, ale tu w dole, jedynie *bootlegging*⁵ cieszy się powodzeniem.

To zniechęciło Lance'a, który kręcił się w kółko, coraz bardziej ulegając rosnącej potrzebie zastawienia swego zegarka. Spacerowanie w wysokich kowbojskich butach nie należało do zbyt wielkiej przy-

¹ *Florence* – miasto leżące na południe od Phoenix, w hrabstwie Pinal, Arizona, USA.

² *Tombstone* – historyczne miasto w hrabstwie Cochise, Arizona, USA; stało się jednym z ostatnich prosperujących miast na Dzikim Zachodzie.

³ *Bisbee* – miasto w USA, w południowo-wschodniej części stanu Arizona, w pobliżu granicy z Meksykiem.

⁴ *Douglas* – miasto w stanach Zjednoczonych, w stanie Arizona, w hrabstwie Cochise; w mieście jest przejście graniczne prowadzące do meksykańskiej miejscowości Agua Prieta, leżącej w stanie Sonora.

⁵ *Bootlegging* (ang.) – nielegalny handel, nielegalne wytwarzanie alkoholu, pędzenie alkoholu.

jemności. Nastąpiło południe i Lance'owi zrobiło się gorąco. Nagle usłyszał w pobliżu głosy, a odwróciwszy się odkrył, że znajdował się niedaleko wielkiego czarnego samochodu, z którego dobiegały owe głośne dźwięki. Spojrzał raz jeszcze na pojazd i doznał olśnienia. Był to ten sam czarny samochód, który wjechał za dziewczyną, Madge, na parking. Ten sam parking, na którym Lance postanowił uniknąć z nią spotkania! Ze ściśniętym sercem uświadomił sobie, że nie pomyślał o niej od wielu dni. Był w innym świecie. Ale ten samochód...! Lśniącą czerń, nigdzie ani śladu błysku metalu, świetna, droga maszyna, z pewnością przypominała...

– Hej, kolego, podejdź tutaj – Lance usłyszał ostry głos.

Młody mężczyzna o bladej twarzy i świdrującym spojrzeniu, wychylał się z przedniego siedzenia obok kierowcy. Lance rozpoznał go natychmiast. Był to młodzieniec, którego Madge nazwała gangsterem, a on sam przedstawiał się jako Honey Bee Uhl.



Rozdział II

Lance zbliżył się powoli, ukrywając zżerającą go ciekawość. Czuł, że chciałby dowiedzieć się wszystkiego, co tylko mógł o tym człowieku.

– Witam – odpowiedział.

– Wyglądasz trochę na zagubionego.

– Bo tak właśnie się czuję – odparł Lance.

– Bez urazy. Obijamy się i czekamy tu na jednego faceta. Chciałem po prostu być towarzyski. Masz ochotę się napić?

– Najpierw muszę mieć za co.

– Spłukany?

– Ani złamanego grosza. Na dodatek nie mogę znaleźć pracy w tej dziurze.

– Słuchaj, kolego, dla odpowiednich facetów pracy jest dużo. Umiesz prowadzić ciężarówkę?

– Proszę pana, mógłbym prowadzić dwie – odparł chełpliwie Lance.

– Tak? Chciałbyś zarobić stówę?

– Oho! Brzmi nieźle. Za tyle kasy zgodziłbym się na prawie każdą pracę. Chciałem tylko mieć pewność, że ją dostanę – roześmiał się Lance.

– Dokładnie. W porządku. A teraz do rzeczy, kim jesteś i czym się zajmujesz?

– Nigdy pan o mnie nie słyszał – powiedział wymijająco Lance. – Przyjechałem z L.A.¹

– Ścigają cię prywatni detektywi?

Lance zaśmiał się ponuro, zamilkł i odwrócił nieco twarz, unikając skierowanego w jego stronę przenikliwego spojrzenia.

– Powiedz prawdę, kolego, jeśli chcesz, by twój los się odmienił. Co robiłeś w L.A.?

¹ L.A. – skrót od Los Angeles, miasto w Kalifornii, USA.

– Chce pan wiedzieć?

– Tak. Nie do ciebie należy zadawanie pytań – odpowiedział Uhl z niecierpliwą surowością. – Zdecyduj się.

– A niech tam, do diabła. Jestem głodny... Przyjechałem z Portland¹ przed Latzy'm Corkiem – zaryzykował Lance, przypominając sobie imię podejrzanego typu z półświatka, który ostatnio wymykał się policji na wybrzeżu.

– Lewy interes, co? – rzucił mu bystre spojrzenie Uhl, pstrykając palcami.

Ze spojrzeniem zimnym jak stal odwrócił się do swych towarzyszy. Lance wykorzystał ten moment, aby upewnić się, że rozpozna kierowcę samochodu i trójkę osobników o kamiennych twarzach na tylnym siedzeniu, gdyby jeszcze kiedykolwiek ich spotkał. U boku tego siedzącego najdalej od drogi Lance zauważył lufę karabinu maszynowego.

– Cork mógł mnie zlokalizować. Jak myślisz, Dipper? – dodał Uhl.

– Nie ma szans, Bee. Od dwóch miesięcy przebywa we Frisco², i na północy – odpowiedział wywołany.

– Tego nie wiemy – rzekł Uhl z powątpiewaniem i odwracając się z powrotem do Lance'a, wyciągnął rulon banknotów, na którym widniała banderola z nominałem sto. – Oto twoja forsa, kolego... Masz tę robotę. Jedyne ryzyko, które podejmujesz, to takie, żeby nie wystawić mnie do wiatru.

– Jeśli przyjmę tę pracę, będę lojalny – przerwał Lance.

– Wyglądasz tak znajomo... Widzisz tę wielką ciężarówkę pokrytą płótnem, na tyłach stacji benzynowej? To twój wóz. Masz nią pojechać do Tucson³. Jest pusta, ale będziesz jechał wolno, jakby była w pełni załadowana. Rozumiesz? Prędzej czy później zostaniesz za-

¹ *Portland* – miasto w USA, w stanie Oregon, w pobliżu ujścia Willamette do rzeki Kolumbia.

² *Frisco* – popularny w Stanach Zjednoczonych skrót od San Francisco, miasto w USA, w środkowej części stanu Kalifornia, na półwyspie między Oceanem Spokojnym a zat. San Francisco.

³ *Tucson* – miasto w USA, w południowo-wschodniej części stanu Arizona, nad rzeką Santa Cruz i Rillito.

trzymany, prawdopodobnie po zmroku, przed Tucson. To nic takiego. Udajesz głupiego. Po prostu prowadzisz ciężarówkę i nie znasz mnie. Rozumiesz?

– Nie jestem pewny, czy rozumiem, czy nie – odpowiedział z powątpiewaniem Lance. – Kto mnie zatrzyma... i dlaczego?

– Widzisz, nawet nie musisz udawać głupiego. Wszystko, co musisz zrobić, to stanąć, gdy cię zatrzymają. Rozumiesz? I nic nie wiesz.

– Ciężarówka jest twoja?

– Tak.

– Szmuglerz rumu?

– Mówiłem ci już, że jest pusta – warknął Uhl. – Jedziesz czy nie?

– Pewnie – oświadczył Lance, przyjmując oferowane pieniądze. – Co mam zrobić, gdy dotrę do Tucson?

– Będziesz na głównej autostradzie. Zatrzymaj się na pierwszej stacji paliw na obrzeżach miasta. Po prawej stronie.

– I co wtedy?

– Jeśli nie ja, to ktoś inny będzie tam na ciebie czekał.

– Założę się, że ci dżentelmeni zabiorą ciężarówkę?

– To nie twoja strawa.

– Szefie – wtrącił Dipper o bladej twarzy. – Ten krzepki ptaszek ma przy sobie broń.

– Co ty powiesz? Mam nadzieję, że zamieni się w kowboja i użyje jej na tych idiotów... Kolego, jeśli użyjesz tej sztuczki, będzie więcej.

– Ten nie wygląda na zbyt twardego – oświadczył krótko Lance. – Ale po kolei. Ruszam w drogę.

Oddalając się i starannie chowając pieniądze, Lance usłyszał, jak Uhl powiedział:

– Dip, jeśli mu się uda, przyjmiemy go.

– Uważaj, szefie. Ten facet robi...

Lance oddalił się i nie słyszał reszty. Na stacji zwrócił się do pracownika: „Ciężarówka gotowa?”. Po otrzymaniu informacji, że „wszystko jest gotowe”, Lance wspiął się na siedzenie dla kierowcy i rozejrzał się. Maszyna była świetna. Wyjeżdżając ze stacji zauważył, że wielki czarny samochód zniknął. Lance nie przyglądał

się, żeby sprawdzić, co się z nim stało. Przecznicę dalej skrzył na autostradę i bez postoju przejechał przez Douglas. Gdy znalazł się za miastem, przyspieszył do dwudziestu pięciu mil na godzinę i skierował się na północ z ponurą świadomością, że zdecydował się na tę przygodę jedynie z powodu blond studentki o imieniu Madge, która tak go zaintrygowała.

– Dziwny układ – powiedział do siebie, dając upust swym domysłom. – Trafiłem w dziesiątkę tym gadaniem o Latzy'm Corku... Lewy interes? Ciekawe, co to za lewy interes? Cork był podejrzany o prawie wszystko, co działo się na północy... W każdym razie uszło mi to na sucho... A ten cały Bee Uhl, to na pewno oszust. Z Chi¹... Pamiętam. Z Chicago, oczywiście. Wydaje się, że nie obchodzi go, kto o tym wie. A ta wielka ciężarówka musi mieć coś wspólnego z przemysłem. Może za granicę. Albo do jakiegoś portu w zatoce... Nic mnie to nie obchodzi, za to przeszkadza mi, że ten przystojniaczek, ten palant, ma coś wspólnego z dziewczyną.

Lance pomyślał po chwili, że powinien opanować sytuację. Słowa Madge same o tym świadczyły. Flirtowała z Uhlem, najwyraźniej dla dreszczyku emocji. Z pewnością miała świadomość tego, że jest gangsterem. Być może był to sekret. Taka dziewczyna musiała być otoczona wielbicielami, nagabywana i znudzona, aż miała ich dosyć. A Uhl był przystojny, a jego twarda i bezczelna postawa mogła podobać się dziewczynie. Najwyraźniej był to początek romansu. Lance wmówił sobie i poczuł zadowolenie, że zdała sobie sprawę z popełnionego błędu, i w bezpośredni, lecz uprzejmy sposób dała to jasno do zrozumienia Uhlowi.

– Ale dlaczego chciała zadurzyć się w takim facecie? – zazdrośnie odgryzł się Lance. – Och, opanuj się, Lance!

Tylko dlatego, że ta Wasza Wysokość, jak nazwał ją student Rollie, okazała się najpiękniejszą i najbardziej fascynującą dziewczyną, jaką Lance kiedykolwiek spotkał, nie było najmniejszego powodu, żeby porównywać ją do anioła.

¹ *Chi* – skrót od Chicago. Miasto w USA, w północno-wschodniej części stanu Illinois, przy ujściu rz.: Chicago i Calumet do jez. Michigan.

Lance nie potrzebował przywoływać jej obrazu. Wyrwał się w jego pamięci. Pomyślał, że nie ma sensu udawać, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. To było w porządku. Wolałby jednak, żeby myśli o niej, jej piękno i czar nie nasuwały się tak natarczywie. Nie mógł ich odegnąć i znów pojawił się ten żal, że nie wyszedł ze swego ukrycia owego dnia jak prawdziwy mężczyzna i nie zobaczył się z nią. Mógł przynajmniej oszczędzić jej spotkania z Uhlem. Nagle Lance'owi przyszła do głowy niepokojąca myśl. Uhl, gangster, kanciarz, przemytnik, mógł posiadać jeszcze jedno oblicze. Mógł być porywaczem. To brzmiało całkiem rozsądnie i w głowie Lance'a zrodził się pomysł. Dziewczyna musiała mieć w Kalifornii bogatą rodzinę. Jej styl, jej arystokratyczne zachowanie, jej opowiadanie o ranczu pełnym koni arabskich, to z pewnością świadczyło o bogactwie. To mogło wyjaśniać zainteresowanie Bee Uhla. Przy zbliżającym się zniesieniu prohibicji¹ ci przemytnicy musieli planować już kolejne machinacje. Można było już zaobserwować rosnącą aktywność w obszarze porwań.

– Głupie czy nie, ale potraktuję to jako przecucie – mruknął do siebie stanowczo Lance. – Obiecuję, że jeśli mi się uda, to dowiem się czegoś więcej o tym cwaniaczku ze zwitkiem studolarówek – i pod wpływem chwili pomyślał, że jeżeli sprawdzi swe podejrzenia wobec gangstera, to nie będzie dla niego problemem wrócić do Los Angeles, by ostrzec dziewczynę. Wtem zdał sobie sprawę z nagłego zadowolenia, jakie odczuł, a to sprawiło, że przeraził się. – Przystań z tymi swoimi romansami, dzieciaku – powiedział do siebie. – To są prawdziwe pieniądze, a ja wykonuję pracę, której nie powinienem być brać.

Nic jednak, co pomyślał albo sobie kombinował, nie zmieniło zasadniczo nastroju i obrazu sytuacji. Sposób, w jaki wypadki i okoliczności pojawiały się na jego drodze i to, co z nich wynikało, nauczyło go wierzyć, że mogła spotkać go osobliwa przygoda, na wielką skalę.

¹ *Prohibicja* – prawo wydany przez państwo zakaz prowadzenia działalności społecznie niepożądanego lub szkodliwego (zwłaszcza produkcji lub sprzedaży napojów alkoholowych) na obszarze całego państwa lub jego części (p. całkowita) albo znaczne ograniczenie takiej działalności (p. częściowa).

Od czasu do czasu mijały go przejeżdżające samochody i ciężarówki, przy czym ruch w kierunku południowym był większy. Lance nie zauważył jednak wielkiego, czarnego samochodu Uhla. Raz obejrzał się za siebie na odległość ligi lądowej¹, będąc niemal pewnym, że go tam zobaczy, ale go tam nie było.

Kierowanie ciężarówką nie pozwalało na bliższe podziwianie pustynnych krajobrazów, co bardzo lubił robić podczas jazdy na Umpqua. Jednakże trud i skupienie na szczególnych okolicznościach, które doprowadziły go do tego miejsca sprawiły, że czas zdecydowanie szybko płynął. Nim się zorientował, piął się w górę po krętym zboczach przez Bisbee, wypatrując bacznie kontroli, której miał się spodziewać. Późnym popołudniem przejechał przez malownicze Tombstone, na skraju którego zatrzymał się po benzynę. To wymagało rozmiennienia studolarowego banknotu, który dał mu Uhl. Pracownik obsługi na stacji paliw, człowiek z Zachodu w średnim wieku, przeniósł bystre spojrzenie błękitnych oczu z banknotu na Lance'a.

– Widziałem już wcześniej takie banknoty, i tę ciężarówkę, którą jedziesz też. Co wiesz o tym biznesie?

– Nie rozumiem – odpowiedział szorstko Lance. – Co pan rozumie przez biznes?

– Zwykle są takie dwie albo trzy ciężarówki, jak ta. Coś mi się wydaje, że jesteś nowy...

– W czym? – przerwał mu Lance.

– Ja tam nic nie mówię – odpowiedział pracownik stacji, robiąc spokojnie unik.

– Tak? W rzeczy samej, zgadza się, jak diabli, jestem nowy w tej robocie.

Ta krótka i zagadkowa wymiana zdań na nowo uświadomiła Lance'owi możliwości, które mogą się przed nim otworzyć. Potem stał się czujny i zwiększył nieco prędkość. Było już prawie ciemno, kiedy mijał Mescal, pustynną osadę i nie zatrzymał się, by zaspokoić pragnienie lub głód. Chciał jak najszybciej zakończyć to zlecenie. Noc

¹ *Liga lądowa* – angielska jednostka długości równa ok. 5 km.

na pustyni była aksamitna i kojąca, przynosiła przyjemny chłód, gdy ustępował żar dnia. Króliki i kojoty uskakiwały mu spod kół, szare w blasku światła. Reflektory samochodów rozrastały się w ciemności od główek szpilek do żółtych ciał niebieskich, pędziły na niego i mijały go, pozostawiając drogę znów ciemną. Suchy zapach kurzu i pustynnych narośli zatykał mu nozdrza. W bardziej sprzyjających okolicznościach Lance chciałby bliżej przyrzeć się pustyni. Widmowe ramiona kaktusów i gęsty gąszcz *mesquite* wywoływały u niego uczucie samotności.

Kilka mil za Vail¹ niebo pojaśniało nieco od północnej strony. Po chwili Lance rozpoznał w tym światła Tucson, oddalonego o wiele mil, ale wyraźnie widocznego w rozrzedzonej atmosferze. Lance jadący z prędkością czterdziestu lub więcej mil na godzinę, zaczął odczuwać zdenerwowanie z powodu spodziewanej kontroli. Za każdym razem, gdy dostrzegał błysk reflektorów za sobą, był gotów do zatrzymania się. Jednak przez następną godzinę minęło go wiele samochodów, a oświetlony horyzont tak się przybliżył, że w końcu zaczął wierzyć, iż dojedzie do pierwszej stacji benzynowej po prawej bez zatrzymywania się.

Nagle pojawił się za nim samochód i przez kilka mil jechał jego śladem. Lance spodziewał się, że to ten właściwy i zmusił się do gotowości. Zwolnił do trzydziestu, a następnie do dwudziestu. Samochód jechał za nim, trzymał się nieco bardziej lewej strony. W końcu przesunął się obok Lance'a.

– Ej, kierowco. Zatrzymaj się! – zawołał zachrypnięty głos.

Lance wyłączył silnik, zahamował i z piskiem opon zatrzymał się.

– Rączki do góry! – dało się słyszeć z samochodu. Światło latarki oślepiło Lance'a.

– W porządku! – wrzasnęła, wykonując rozkaz.

Z samochodu wyskoczyli dwaj mężczyźni, trzasnęły drzwi. Wóz pojechał przed siebie i zatrzymał się przed ciężarówką. Drzwiczki Lance'a zostały otworzone szarpnięciem. Światło zalało jego kabinę.

¹ *Vail* – jednostka osadnicza w Stanach Zjednoczonych, w stanie Pima, Arizona, 24 mile (39 km) na południowy wschód od Tucson.

Nad wycelowanym w niego pistoletem zobaczył dwie niewyraźne twarze, z których bliższa była zamaskowana. Lance usłyszał kroki za ciężarówką i szcęk zasuw.

– Bud, widziałeś go już wcześniej? – zapytał bandyta z pistoletem.

– Nie. Następnym razem – padła lakoniczna odpowiedź.

– Ktoś ty? – zażądano odpowiedzi.

– Poganiacz krów z Arizony – odpowiedział Lance. – Sflukany.

Zgodziłem się prowadzić tę ciężarówkę.

– Kto cię zatrudnił?

– Nie wiem. Pięciu facetów w czarnym samochodzie w Douglas.

Z tyłu zadźwięczał zawias i rozległo się uderzenie płótna.

– Pusto, na Boga! – zawołał gniewnie ochryply głos.

Odgłos kroków poprzedził pojawienie się dwóch kolejnych mężczyzn, spośród których, pomimo oślepiającego światła latarki, Lance rozpoznał jednego.

– Henny, zostaliśmy wykiwani. Zrobił z nas idiotów. Ciężarówka jest pusta.

– Do diabła, nie!

– Tak, do diabła! To ciężarówka do przewozu bydła. Jeszcze wczoraj, gdy je zatrzymaliśmy, była pełna krów. Druga miała...

– Zamknij się! – warknął przywódca, uderzając pistoletem w drzwi. – Ej, kierowco, ile takich ciężarówek ostatnio widziałeś?

– Widziałem sporo, od czasu do czasu – odpowiedział elokwentnie Lance. – Trzy z rzędu, przedwczoraj.

– W którą stronę jechały?

– Na północ, z Douglas.

– Ach, mówiłem ci, Henny! – wrzasnął wściekły bandyta. – One wszystkie powrócą pełne bydła. On skupuje bydło. Co o tym myślisz? Interes z bydłem. Przykrywka. Ha! Ha! Zrobił z ciebie idiotę.

– Kierowco, czy jest skrót do El Paso¹ bez przejeżdżania przez Douglas? – zapytał ostro przywódca.

¹ El Paso – miasto w USA, w stanie Teksas, nad rzeką Rio Grande, naprzeciwko meksykańskiego miasta Ciudad Juárez.



– Rączki do góry! – dało się słyszeć z samochodu.
Światło latarki oślepiło Lance'a.

– Tak, w Benson¹ – odpowiedział ochotczo Lance. – Droga kiepska, ale przejezdna.

Przywódca wyłączył latarkę.

– Spływaj, kowboju, gdziekolwiek jedziesz. I przekaż swojemu szefowi, że mamy oko na jego machlojki.

– Henny, jeśli istnieje skrót, choćby i najgorszy, to możemy zatrzymać ten wóz – wychrypiął mężczyzna zwany Budem.

Miał przenikliwy, nieprzyjemny i szorstki głos, który Lance zapamiętał. Czwórka bandytów pobiegła do samochodu i zapakowała się do niego.

– Zawrócić i nacisnąć na gaz! – wydał rozkaz przywódca grupy.

Po chwili ich samochód gnał z rykiem silnika po autostradzie na wschód, a Lance miał przed sobą pustą drogę. Z ulgą i większym zainteresowaniem niż kiedykolwiek nacisnął sprzęgło i pomknął w kierunku Tucson. Lance pojął, że został użyty tylko do zbiccia z tropu tej bandy. Ten przekręt z bydlęciem wydawał się sztuczką, do przechytrzenia której potrzebne byłoby coś więcej niż jeden samochód pełen bandytów.

Podróż przez ten opustoszały odcinek drogi do wyznaczonej stacji paliw trwała krótko. Lance jechał szybko. Ciężarówka zdawała się sunąć miękko jak limuzyna. Załedwie Lance zatrzymał się na placu stacji benzynowej, gdy dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach i spuszczonej na twarz kapeluszach pospieszyło mu na spotkanie. Lance był gotów. Otwierając drzwi, wysiadł z wozu z długim westchnieniem ulgi.

– Dzień dobry. Cieszę się, że was widzę. Biercie ją sobie – powiedział głośno.

– Zatrzymali cię? – zapytał jeden z nich nerwowo, podczas gdy drugi wskoczył za kierownicę.

– A jakże. Jakieś pięć mil drogi stąd. Powinniście słyszeć, jak Bud i Henny kleli, że jest pusta. Dałem im fałszywą wskazówkę.

– Tak? A jaką?

– Zapytali mnie o skrót do El Paso. Powiedziałem im, że tak, jest, przez Benson. Słyszałem, że to kiepska droga. Zgubią się.

¹ *Benson* – miasto w hrabstwie Cochise, Arizona, Stany Zjednoczone, 45 mil (72 km) na południowy wschód od Tucson.

– Szeef będzie zadowolony. Ile wydałeś na benzynę? Zapomniał o tym i kazał mi to wyrównać.

Lance wymienił sumę, która została mu wręczona w pięciodolarowym banknocie, bez wydawania reszty.

– Blick, nie mamy całej nocy – odezwał się mężczyzna na siedzeniu kierowcy. – Kończ już.

– Uspokój się. Honey Bee dał mi polecenie, no nie...? Kierowco, jesteś w porządku. Mam ci powiedzieć, że jeśli będziesz w Douglas podczas następnej trasy, możesz dostać kolejną robotę.

– Świetnie. Zostanę, byle nie za długo. Kiedy jest ta następna trasa?

– Nie wiem. Może za miesiąc – może później.

Kiedy odeszli, Lance wszedł na stację paliw, świadomy tego, że jego przyjazd i krótka rozmowa były obserwowane.

– Jak daleko do knajpki z *hash browns*¹? Głodny jestem jak wilk – zaczął wesoło.

– Obcy w okolicy? – odpowiedział mężczyzna, bacznie mu się przyglądając. – Na tej ulicy jest dużo miejsc, gdzie można dobrze zjeść.

– Dzięki. Tak, jestem tu obcy i nie boję się przyznać, że jechałem tą ciężarówką, bo potrzebowałem pieniędzy. Zostałem zatrzymany i zdrowo wystraszony.

– Nie musisz nic mówić. Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę biznes. Miałeś szczęście.

– Tak? A na co się porwałem?

– Trudno powiedzieć.

– Widziałeś już wcześniej tę ciężarówkę?

– Zgadza się i podobne do niej. Przyjeżdżają i odjeżdżają mniej więcej co sześć tygodni.

– Handel bydlętem musi się opłacać, jeśli krowy wozi się ciężarówkami – stwierdził Lance, a odczekawszy chwilę na odpowiedź, która nie nadeszła, wyszedł na ulicę.

Pośrodku drugiej przecznicy natrafił na bar, gdzie dostał kolację. Na drugim rogu znajdował się hotel. Dowiedział się, że następnego

¹ *Hash browns* (ang.) – to popularne amerykańskie danie śniadaniowe, składające się z drobno posiekanych ziemniaków, usmażonych do zrumienienia.

ranka może złapać autobus do Douglas. Potem poszedł spać. Wydarzenia tego dnia skłaniały do myślenia, ale nie przeszkodziły mu w zaśnięciu.

Za to następnego ranka w autobusie nie miał nic do roboty poza rozmyślaniem. Lance'owi zajęło praktycznie całą długą jazdę dojście do wniosku, że dalsze zaprzątanie sobie głowy Uhlem jest bezsensowne. Lance nie chciał już więcej jeździć żadnymi podejrzanymi ciężarówkami. Pomijając ciekawe doświadczenie, to spotkanie z Uhlem nie dawało mu żadnego powodu do zainteresowania. Jedyne dziwny związek z dziewczyną z college'u sprawił, że zastanawiał się, snuł domysły i rozmyślał nad tym, jak ją ostrzec. Nie znał przecież nawet jej nazwiska, a powrót do Los Angeles z takiego powodu już sam w sobie wydawał mu się absurdalny. Mimo to gryzło go sumienie. To jednak minęło, pozostawiając go jedynie z rosnącym uczuciem żalu. Kiedy w Douglas poszedł zobaczyć się z Umpqua, i wyobraził sobie Madge na jego pięknym koniu, omal się nie wściekł się z powodu swego sentymentalizmu i tkliwości. Mimo to myśli o dziewczynie nie chciały ustąpić i Lance w końcu się z tym pogodził.

Na północny wschód od Douglas, pustynny krajobraz Arizony prezentował swe barwy, dzikość i surowość z taką siłą, że Lance z niechęcią odwracał się plecami do górskich łańcuchów, przyćmiewających swym wyglądem te, po których jeździł w Oregonie. W jakże wspaniałym kraju wjeżdżał! Przed nim piętrzyły się góry, strzeliste i wyniosłe, purpurowe z oddali, czerniejące i szare, gdy liga za ligą zbliżał się do nich. Lance nie spieszył się, zatrzymując się, by zasięgnąć informacji, ale kilka małych wiosek, które minął po drodze, nie dostarczyło mu ich zbyt wiele. Jedną noc spędził w Chiricahua, które wydawało się leżeć w samym centrum rozległego zielonoszarego, otoczonego górami terenu. Zaczął zauważać bydło w znacznej liczbie, jednak nie aż tyle, ile ta kraina rzeczywiście byłaby w stanie utrzymać. Jechał i jechał po ciągnącej się uroczej dolinie.

Zapała ciemność. Wypytywał w Apache o miasta położone dalej na północ. Powiedziano mu, że jest ich niewiele i są od siebie bardzo oddalone. Wyglądało na to, że jego fascynacja odosobnieniem

i pięknem tej położonej wysoko doliny skłoni go do spędzenia nocy na świeżym powietrzu. Nie przeszkadzało mu to. Dzień był upalny, a noc nadal ciepła. Jednak trzy godziny po zachodzie słońca ujrzał przed sobą światła i wkrótce zajął miejsce zwanego Bolton. W przeciwieństwie do większości innych miast, to wydawało się stosunkowo nowe, położone zarówno przy autostradzie, jak i linii kolejowej. Była tam główna ulica, jasno oświetlona, z wieloma zaparkowanymi przy niej samochodami, sklepami i kawiarniami, hotel i zajazd, bank i kino. Lance przejechał przez zewnętrzną strefę garaży i campingów. Umpqua, tak uparty i nieugięty, zaczął okazywać oznaki zmęczenia. Lance ucieszył się, widząc kilka koni uwiązanych za garażem z dala od głównej ulicy, a następnie stajnię wynajmowaną właścicielom koni. Garaż ewidentnie pełnił również rolę stacji paliw i prezentował się dość skromnie w porównaniu z okazałymi budynkami, które Lance minął.

– Cześć, kowboju – odezwał się przeciągle miły głos. – Złaz z konia i wchodź.

– Dzień dobry – odpowiedział Lance, witając krzepkiego młodzieńca o łukowatych nogach, który nagle skądś się pojawił. Było wystarczająco dużo światła, by dostrzec szczupłą, opaloną twarz, w której lśniły zmrużone, bystre i przyjazne oczy.

– Dobry Boże! Komu tyś rąbnął tego konia? – spytał osobnik.

– Żartujesz sobie ze mnie, czy tak się u was wita jeźdźców? – zapytał Lance.

– Pewnie, że żartuję. Sami mamy tu kilka wspaniałych koni, dlatego sobie pozwalam. A tak na serio, gdzieś ty go znalazł?

– Wyhodowany w Oregonie. Dostałem go, gdy był jeszcze źrebkiem. Sam go wychowałem.

– Jesteś z Oregonu? – ciągnął ten drugi, okrążając zwierzę i przyglądając się mu w sposób, który zdradzał miłość do koni. To było jak młyn na wodę dla Lance'a.

– Tak, przejechałem na nim całą drogę.

– Nie gadaj! Jasna cholera! No, patrząc na niego, wcale mnie to nie dziwi. Co za koń, kowboju. Oddałbym ci za niego mój garaż samochodowy.

– Mówisz jak kowboj – zaśmiał się Lance.

– Byłem nim. Jestem. Całe życie zjeździłem po preriach Arizony, ale w tych trudnych czasach musiałem zarabiać na utrzymanie mojej matki i swoje.

– O rany, to niedobrze. Przyjechałem do Arizony, żeby załapać się do pracy w jakieś ekipie poganiaczy bydła.

– No to nie masz szczęścia. Kowboje w dzisiejszych czasach są rzadkością. Tak, jak i sama praca. Mnóstwo bydła, a ekipy poganiaczy zmniejszyły się do dwóch lub trzech jeźdźców. To była moja praca. Trzy lata przed tym, jak nastąpiła ta klapa, pracowałem u Gene'a Stewarta, najlepszego ranczera¹ w tych stronach. Kiedyś miał osiemdziesiąt tysięcy sztuk bydła, ale w ostatnich latach Gene stracił, a ja nie mogłem dłużej jeździć za darmo. Musiałem wziąć tę robotę. Zarabiam nieźle, ale jej nie cierpię.

– Dobrze cię rozumiem... To co, może mógłbym zakwaterować Umpqua w tej stajni?

– Umpqua? A co to za imię! Skąd żeś je, u diabła, wytrzasnął?

– To indiańskie. Od nazwy rzeki w Oregonie. Znaczy szybki.

– Pasuje, jak ulał. Jasne, może być ta stajnia. Pójdź z tobą... Jak mówiłeś, że się nazywasz? Ja jestem Ren Starr.

– Jeszcze nie powiedziałem. Jestem Lance Sidway.

– Masz zamiar zostać tu trochę?

– Tak, jeśli uda mi się znaleźć pracę.

Stajenny okazał się starszym mężczyzną, którego niewątpliwie otaczała aura otwartych i bezkresnych przestrzeni. Był równie entuzjastycznie nastawiony do Umpqua, co Starr. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Lance poczuł się jak w domu, wśród swoich.

– Ump, stary druhu, ta stodoła przyjemnie pachnie, nieprawdaż? – rzekł Lance i klepnąwszy zwierzę na pożegnanie, wyszedł ze Starrem. – Gdzie mogę coś zjeść i się przespać?

– Jest kilka miejsc, ale poza hotelem spodoba ci się kafejka pani Goodman. Miła kobieta, uwielbia kowbojów i prowadzi małą, pierwszorzędną knajpę.

¹ *Rancier* (ang. rancher) – osoba prowadząca ranczo, hodowca, rolnik.

– Może poszedłbyś ze mną? Chętnie bym porozmawiał.

– Jasne. Jestem po kolacji, ale zawsze mogę jeszcze coś zjeść.

A i tak muszę już zamykać interes.

Po chwili Lance był już w środku czystego, pachnącego, małego lokalu, o wnętrzu bardziej domowym niż kawiarnianym, i został przedstawiony korpulentnej kobiecie o miłym i sympatycznym wyglądzie. Najwyraźniej miała słabość do kowbojów.

– No, Oregon, szczerze chciałbym, żebyś tu został – powiedział entuzjastycznie Starr. Wyraźnie polubił Lance’a, ze wzajemnością.

– Całą drogę z Apache coraz bardziej podobał mi się krajobraz.

– Do diabła, to jeszcze nic. Powinieneś zobaczyć okolice wzdłuż zachodniego zbocza gór Peloncillo¹. Pierwszorządne tereny łowieckie na jelenie i antylopy. Niedźwiedzie i kuguary² są wyżej. Można łowić pstrągi, o rany! Wszędzie trawa i szałwia³.

– Brzmi wspaniale. To tam ten twój Gene Stewart hoduje swoje bydło?

– Hodował, kiedy miał dziesięć ekip poganiaczy, ale teraz zostało mu tylko z tysiąc sztuk bydła, nie licząc roczniaków i cieląt. Pozwala im po prostu paść się wokół swojego rancza, pod okiem kilku meksykańskich dzieciaków.

– Jak daleko jest to ranczo?

– Jakieś trzydzieści mil, szlakiem. Droga biegnie w górę i w dół. Samochody pokazują czterdzieści dwie mile na liczniku. Brak prac drogowych tej wiosny utrudnia jazdę.

– Zastanawiam się, jaką mam szansę się z nim dogadać? Płaca nie stanowi problemu, przez jakiś czas. Chcę jeździć po otwartej przestrze-

¹ *Góry Peloncillo* (ang. The Peloncillo Mountains) – (hiszp. Pelo, włosy, Pelon, bezwłosy, łysy), pasmo górskie w północno-wschodniej Cochise County, Arizona, USA.

² *Kuguar* (puma, *Felis concolor*) – duży gatunek z rodziny kotowatych; występuje w różnych środowiskach od półpustyni po las w Ameryce Północnej i Ameryce Południowej, od zachodniej i południowej Kanady po południowe Chile.

³ *Szałwia* (*Salvia*) – rodzaj rośliny z rodziny jasnotowatych (wargowych), wieloletnia, o wysokości około 60 cm (2 stopy); liście owalne, szorstkie lub pomarszczone i zwykle puszyste; kolor waha się od szaro-zielonego do białawo-zielonego, a niektóre odmiany są różnorodnie; kwiaty mają kolce i cylindryczne dwuwargowe korony, które przyciągają różne typy zapylaczy, w tym pszczoły, motyle i kolibry.

ni, zjeść porządny posiłek i potrzebuję pastwisko dla Umpqua. Widzisz, jest nauczony, by sam się paść. Alfalfa i zboże by go rozpuściły.

– Co racja, to racja... Słuchaj, Sidway, masz całkiem duże szanse na dogadanie się z Gene'em. Cholernie potrzebuje poganiaczy. Dam ci list do niego jutro rano. To małe piwo, jeśli naprawdę chcesz pracować bez zapłaty, tylko za wikt. Będzie zadowolony. Musisz tylko ostrożnie go podejść... Gene to drażliwy gość, ale sól tej ziemi. Sprzedałbym to za grosze i pojechał z tobą.

– Byłoby świetnie. Dlaczego tego nie zrobisz?

– Mama nie miałaby nic przeciwko. Te upały jej tu nie służą, ale zarabiam pieniądze i myślę, że powinienem zaoszczędzić jak najwięcej, nim znów wyruszę na szlak.

– W porządku, Ren. Dzięki za podpowiedź. Pojadę tam. Może będziemy się widywać od czasu do czasu. Chciałbym tego.

– Ja też. Pewnie, że możemy. Gene da ci raz kiedyś wolną niedzielę. Przyjadę do ciebie.

– Jakie ranczo posiada Stewart?

– Pierwsza klasa! Chyba każdy poganiacz na Zachodzie o nim słyszał. Blisko granicy. Wcześniej należało do Meksykanina o imieniu Don Carlos. Został zastrzelony na długo przed moim pojawieniem się w tej części Arizony. Dopiero co się wtedy urodziłem, ale słyszałem tę historię. Podczas meksykańskiej rewolucji, jakieś dwadzieścia pięć lat temu, Don Carlos był właścicielem tego rancza. To był hiszpański grand. A on zajmował się przemytem broni na granicy. Gene Stewart był wtedy twardzielem, kowbojem, świetnym w rzucaniu lassem i radzeniu sobie z końmi – niezawodny strzelec – a opanowanie! Nikt nie był bardziej opanowany niż ten *hombre*¹. Dołączył do rewolucjonistów. Nazywali go *El Capitan*². Po tym, jak Madero³ został zamordowany, Gene wrócił tutaj. Mniej więcej w tym samym czasie przybyła bogata dziewczyna z Nowego Jorku. Kupiła ranczo Don Carlosa. Stillwell, wówczas zarządca, zebrał najtwardszą grupę kowbojów,

¹ *Hombre* (hiszp.) – człowiek, facet.

² *El Capitan* (hiszp.) – kapitan,

³ Francisco Indalencio *Madero* (1873-1913) – polityk meksykański.

jaka kiedykolwiek jeździła po równinach. Nikt jednak nie był w stanie im przewodzić, dopóki nie zatrudnił Gene'a. Przegnali Don Carlosa i jego bandę z pastwisk. Zrobili z tego rancza najlepsze na całym Zachodzie. Jest piękne jak zawsze, ale strasznie podupadło przez ostatnie dwa lata... Gene poślubił swoją szefową, bogatą dziewczynę ze Wschodu. Cóż to był za romans!

– To cholernie interesujące, Ren. Chyba polubię tego Stewarta.

– Na pewno, a jeśli okażesz się tak dobry, na jakiego wyglądasz – wybacz szczerze – Gene polubi i ciebie. Był dla mnie wspaniały. A ja kochałem go jak ojca. Zawsze zatrzymuje się tutaj, żeby się ze mną zobaczyć, ma nadzieję, że kiedyś do niego wrócę, ale nigdy mi tego nie mówi. Był dzisiaj w miasteczku, czymś się martwił! Wspomniał tylko, że tracił po kilka sztuk bydła.

– Złodzieje bydła? – zawołał gwałtownie Lance.

– Tak, Sid, bydłokrady.

– Nie!

– A tak. Wciąż to się tu dzieje. Co prawda nie tak, jak kiedyś, ale tuzin sztuk teraz znaczy dla Gene'a więcej niż kilka lat temu tysięcy. Cierpiał, bo nie mógł dojść do tego, jak wprowadzono bydło. Nawet stary Nels, ostatni ze świetnej ekipy kowbojów, nie potrafił tego rozwiązać.

– Może nie myślą kreatywnie, nieszablonowo, tylko w przestarzały sposób.

– Szlag, Sid. To samo sobie pomyślałem.

– Słuchaj, Starr – powiedział Lance, jakby spłynęło na niego natchnienie. – Nie tak dawno temu prowadziłem ciężarówkę z Douglas do Tucson. Była pusta, ale wcześniej przewożono nią bydło.

Lance opowiedział pokrótce okoliczności, pod wpływem których zmuszony był do zarobienia pieniędzy, ale nie wdawał się zbyt w szczegóły dotyczące ludzi, których spotkał na swej drodze podczas tej przygody.

– A niech mnie...! Co to była za ciężarówka?

– Duża, porządna, kryta płótnem. Zapisałem numery rejestracyjne i nazwisko właściciela, które, jak podejrzewam, nie jest nazwiskiem prawdziwego posiadacza.

– Sidway, co ty opowiadasz – powiedział spokojnie Starr. – Widuję tu trzy lub cztery takie ciężarówki mniej więcej raz w miesiącu. Jedna przejechała tędy cztery dni temu na północ.

– Przyjrzałeś się jej dokładniej?

– Nie. Tyle, że było mi nie do śmiechu, jak zwykle zresztą, bo kierowca kupił benzynę na jednej z innych stacji. Widzisz, ci faceci nigdy nie kupili ode mnie nawet galona¹ benzyny. W porządku. Moje miejsce wygląda jak wygląda.

– Starr, minęli cię, bo jesteś kowbojem.

– Co ty mówisz? To jest myśl. Niezła.

– Podczas mojej podróży podsłuchałem coś, co dało mi przekonanie, że ci kierowcy ciężarówek kupowali bydlę jako przykrywkę dla czegoś. Być może ostatnio zaczęli je kraść. Biznes kiepsko się kręci w tych czasach.

– Kolego, geniusz z ciebie – wykrzyknął entuzjastycznie Starr. – Przypomniałem sobie, że nie widziałem, żeby jakaś ciężarówka przejeżdżała tu w kierunku południowym. Przejeżdżają, a jakże. Tak mi powiedziano. Ale późno w nocy.

– Mamy orzech do zgryzienia.

– Interesujące. Nie wytrzymam z ciekawości. Sid, to, o czym tutaj mówiliśmy, cholernie zainteresuje Gene'a. Natychmiast mu opowiedz wszystko o tych ciężarówkach.

– Masz to jak w banku. Starr, jeśli Stewart mnie przyjmie, wyślę ci kwit i pieniądze na mój bagaż w Los Angeles.

– Chętnie go dla ciebie odbiorę... Chyba powinienes wałnąć się na siano. Masz zmęczone oczy. Chodź, zaprowadzę cię do hotelu. Tani jak przyczepa i porządny.

Po drugiej stronie ulicy Starr odezwał się:

– Dużo by opowiadać o Stewarcie, jego ranczu, i w ogóle, ale nie jestem w stanie spamiętać wszystkiego na raz... Przekonasz się, że pani Stewart jest wspaniała. To najmiłsza kobieta i wciąż niczego sobie! Prawie zapomniałem o ich córce. Nic dziwnego, bo nie widzia-

¹ *Galón* (ang. gallon) – gal, jednostka objętości ciecchy i ciał sypkich używana w krajach anglosaskich. 1 gal = 3,7854 litra.

łem jej prawie cztery lata. Była wtedy dzieciakiem, ale potrafiła tak spojrzeć na mężczyznę... Wszyscy kowboje zbzikowali na jej punkcie. Ja też! Myślałem, że mam specjalne względy, bo raz pozwoliła mi się pocałować, ale myliłem się, Sid. Ta dziewczyna była utrapieniem, ale przewidywalna. Po prostu kobieca... Gene mówił mi dzisiaj, że wraca do domu. Bardzo się cieszył z tego powodu. Uwielbia ją! I może trochę też się o nią martwi... Sid, taka dziewczyna śniłaby ci się po nocach.

– Nie sądzę – oświadczył ze śmiechem Lance. – Spędziłem jakiś czas w Hollywood. O rany, miałem do czynienia z najładniejszymi i najzgrabniejszymi dziewczynami na świecie.

– Hollywood? Dobry Boże, czym ty mnie jeszcze zaskoczysz? Sid, z tobą nie można się nudzić... Zakochałeś się w którejś z tych gwiazdek?

– Ren, wpadłem po uszy przez trzy z nich. I wcale nie gwiazdy. Po prostu statystki, ładniejsze niż gwiazdy. Za każdym razem bardziej! Nie wyobrażam sobie, żebym zakochał się w dziewczynie z rancza. Bez obrazu, kolego. Moja siostra jest dziewczyną z rancza i jest moją dumą, ale zrozumiesz, o co mi chodzi, jeśli zobaczysz to na dużym ekranie.

– Masz na myśli kino? Chodzę na każdy film, czasem po dwa razy.

– No to wiesz, że nic mi nie grozi na ranczu w Arizonie.

– Jesteś tu bezpieczny, jeśli ona nie przyjedzie do domu, w co bardzo wątpię. Nie liczylibym na to, przyjacielu... A oto i twój hotel. Powiem: *adiós*¹, do rana. Bardzo się cieszę, że się poznaliśmy, Lance.

– Ja też, Ren. Do zobaczenia jutro wczesnym rankiem. Nie zapomnij napisać tego listu do Stewarta. Dobrej nocy.

Lance kładł się spać podekscytowany i zadowolony z wydarzeń minionego dnia i obietnic, jakie ze sobą przyniósł. Szczególnie cieszył się ze spotkania z eks-kowbojem, Starrem. Lance pomyślał, że był to facet, z którym można by było utrzymać znajomość. Szczęście towarzyszyło tej przygodzie w nowej i odległej krainie.

Następnego ranka, po wczesnym śniadaniu, Lance wybrał się na swe pierwsze arizońskie zakupy. Nabył nowy strój konny, bardzo

¹ *Adiós* (hiszp.) – Żegnaj!

już potrzebny zestaw do golenia i kilka innych artykułów. Niepotrzebne rzeczy związał w swój stary płaszcz, by móc wygodnie przytrzymać je do siodła. Gdy pojawił się w garażu Starra, ten spojrzął na niego z zaskoczeniem i rozbawieniem.

– Dzień dobry, Sid – powiedział, przeciągając sylaby. – Coś porabiał? Taki wystrojony. Mój Boże! Nie wiedziałem, że z ciebie taki elegant. Jak cię jeszcze zobaczę na koniu, to padną z wrażenia. Coś mi się wydaje, żeś widział córkę Gene’a Stewarta, albo o niej słyszał.

– Nie, nic z tych rzeczy. Potrzebowałem czystych ciuchów i golenia – wyjaśnił Lance. – Nie mogę starać się o pracę wyglądając jak włóczęga.

– No nie wiem, Sid – wyraził powątpiewanie Starr. – Gene woli twardych kowbojów. A w tej czerwonej chustce wyglądasz jak Buck Jones¹.

– Ren, kupiłem najmniej krzykliwe ubranie, jakie miał sklepikarz – zaprotestował Lance. – Ale jeśli uważasz, że powinienem przebrać się z powrotem w...

– Żartowałem tylko. Wyglądasz dobrze. Tak naprawdę, to wyglądasz świetnie, ale żaden kowboj nie oszuka Gene’a Stewarta. On cię przejrzy na wylot, Sid. I założę się o mój warsztat, że polubi cię jak ja.

– No to raz kozie śmierć...

– To mi się podoba. A co, do diabła, się stanie, jeśli wpadniesz prosto na córkę Gene’a? Jest w drodze do domu. Gene powiedział o tym wczoraj mojej matce.

– Nie odpuszczasz, Ren. Coś bardzo interesujesz się uczuciami panny Stewart? – zażartował Lance.

– Nie! Raczej martwię się o ciebie, co stanie się z tobą, gdy ona zobaczy ciebie. A w tym nowym ubraniu z pewnością wyróżniasz się z tłumu.

– Jak wszyscy arizońscy kowboje – ciągnął dalej Lance. – Poznałem wielu z nich w Hollywood. Świetni faceci, ale głównie żartownisie, uganiający się za dziewczynami...! A na dodatek, lubiący hazard. Założę się o pięć dolców, że nawet nie zauważę tej twojej arizońskiej kowbojki... Przyjacielu, mieszkałem w Hollywood przeszło rok.

¹ *Buck Jones* – Charles Frederick Gebhart (1891-1942), amerykański aktor, znany ze swojej pracy w wielu popularnych filmach westernowych.

– Już to mówiłeś – odparł oschle Starr. – Zakładamy się. Tu jest ten list do Gene’a Stewarta. Mam szczerą nadzieję, że choć w połowie będziesz tak dobry, jak napisałem to w rekomendacji.

– Dzięki, Ren. Mam nadzieję, że się sprawdzę. A teraz mi powiedz, jak dojechać na to wspaniałe ranczo.

– Wyjedź na główną drogę, oczywiście kieruj się na południe. Skręć w pierwszą ścieżkę – to będzie polna dróżka – skręć w lewo. Trzymaj się jej przez jakieś pięć mil, aż dotrzesz do mostu nad potokiem. Dużo zielonych wierzb. W każdym razie to będzie pierwszy most na twojej drodze, nie możesz go przeoczyć. Po prawej stronie będzie ścieżka, biegnąca równo ze strumieniem. Wjedź na nią, kolego. Życzę ci powodzenia.

– Jak rozpoznam to ranczo, gdy już do niego dojadę?

– O rany! To jedyne ranczo w tym miejscu. Dom, stary, w hiszpańskim stylu, stoi na pagórku wśród drzew. Ściany były kiedyś białe, ale widać go z oddalonego o dziesięć mil pasma.

W krótkim czasie Lance opuścił Bolton, wyjeżdżając na drogę, która zdawała się wznosić i znikać w szarym mroku. Umpqua, wyczuwając coś w dali, być może zapach szaławii i otwartą przestrzeń, zaczął pokonywać ziemię klusem. Lance ujrzał po swej prawej stronie, jak główna droga, lśniąca jak wstęga, biegła wzdłuż linii kolejowej i telegraficznych słupów na południowy zachód przez pustynię. Po jego lewej stronie, za zielonymi wierzbami graniczącymi ze strumieniem, od czasu do czasu jakieś skromne ranczo lub ceglany meksykański dom ożywiał prerię, która stopniowo, w miarę jak posuwał się naprzód, stawała się coraz bardziej dzika i dziewicza. Przed nim na horyzoncie wznosiły się górskie pasma, jedno wyraźne, drugie zamglone. Bystry wzrok Lance’a wychwytywał kicające króliki i skradające się kojoty, a także białe zady zwierząt podobnych do jeleni, które, jak stwierdził potem, były antylopami.

W końcu szlak oddalił się od potoku. Karłowate cedry i jasnofioletowa linia wyznaczały pas szaławii. Lance widział szaławie w Oregonie i Kalifornii, ale nie znał bujności i zapachu tej arizońskiej. Umpqua wyraźnie go polubił. Miało się wrażenie, że w tym czystym powie-

trzu unosi się intensywna woń i uniesienie. Słońce zaczęło przypiekać Lance'a w plecy; gorące powietrze parowało z ziemi jak dym; szczyty, rysujące się ostro i wyraźnie na tle błękitnego nieba, zdawała się teraz otaczać mgiełka. Na prawo, w dole, w stronę drogi, którą Lance wciąż widział, pasły się stada bydła. Natomiast szlak prowadził bardziej w lewo, w kierunku wznoszącego się terenu i nierównych, wystających, czerwonych skał i skupisk cedrów.

Nastało południe, i do tego czasu Lance obliczył, że przebył już co najmniej dwadzieścia mil, czyli dwie trzecie odległości do rancza Stewarta; wkrótce dotarł do przełęczy, o której wspomniał Starr. Widok był tak wspaniały, że Lance zatrzymał się, by popatrzeć. Podziwiał go oczarowany. Ujrzał ruchomą linię samochodowego kurzu, przecinającą rozległą, szaro-purpurową, leżącą pod nim nieckę, która musiała być południowym krańcem doliny Bernardino. Skaliste tereny, skupiska cedrów i ciemniejsze kępy drzew łagodziły monotonię prerii, przesuwałej się dalej, ku górcom, którymi musiały być Peloncillos. Wtem bystre oczy Lance'a wypatrzyły zalesiony pagórek i starą hiszpańską rezydencję wzniesioną przez Don Carlosa. Prezentowała się okazałe już z odległości dziesięciu mil, jak wspominał o tym Starr. Jezioro, błękitne jak klejnot, lśniło w słońcu, a jego zielony krąg wypuszczał wstęgę, która wiła się przez szarość, tworząc szeroki łuk wokół skalistego grzbietu, na który wspiął się Lance. Był to, rzecz jasna, strumień, który napotkał niżej. Była to bezkresna kraina. Jakże musiała być rozległa, skoro leżała tu dolina otoczona górskimi ścianami! Jadąc w dół szlaku Lance pomyślał z powagą, ale i z uniesieniem, że ten widok całkowicie zdobył jego serce. Znajdzie lub założy tu dom, Czuł, że winien jest dozągoną wdzięczność Renowi Starrowi.

Po południu Lance wjechał do małej i ładnej meksykańskiej wioski u stóp wzgórza. Słupy błękitnego dymu wznosiły się wolno ku górze. Na wpół nagie dzieci, *burros*¹ i psy, tubylcy w barwnych strojach przyglądali mu się leniwie z ganków; nikt się nie spieszył, wszyscy zdawali się mieć czas. Lance zaryzykował zadanie pytania jednej z grupki. Niesamowicie piękna meksykańska dziewczyna, której ogrom-

¹ *Burros* (hiszp.) – osły.

ne ciemne oczy świeciły jasno i szelmowsko w stronę Lance'a, odpowiedziała mu:

– *Buenos dias, señor*¹.

– Nie rozumiem. Mówi pani po angielsku? – spytał łagodnie Lance, uśmiechając się do dziewczyny.

– Tak, kowboju. Pan Stewart jest w domu.

– Dziękuję, *señorita*². Myślę, że mi się tu spodoba.

Jej ciemne oczy błysnęły figlarnie i równie szybko, jak pojawił się w nich ten blask, odpowiedziała:

– Szybko poszło, *señor*.

Oddalając się łagodnym zбочem, Lance rozmyślał nad tym, co powiedziała meksykańska dziewczyna.

– Co ona miała na myśli? Nie rozumiem, ale na pewno żartowała. Flirciar! W porządku, *señorita*. Jeszcze się zobaczymy.

Lance nie zdążył dojechać jeszcze do miejsca, gdzie droga zakreślała na zalesiony pagórek, gdy wyprzedził go chłopiec, oznajmiając, że *señor* Stewart jest w zagrodzie, na którą wskazał. Lance rzucił mu ćwierćdolarówkę i trzymając się prawej strony podnóża pagórka, ujrzał po chwili stodoły z drewnianych bali, szopy i zagrody, długi barak z omszałym dachem, stary i zwietrzały, malowniczo podupadający. Przeciągłe rzenie niewidzialnego konia wywołało parsknięcie u Umpqua. Lance jechał alejką pełną rozsypanych, leżących na ziemi żerdzi, która zmieniła się w rodzaj podwórka, gdzie zaraz po prawej stronie stała kuźnia, a przed nią kilku meksykańskich jeźdźców i czarny koń, pełnej rasy, tak zadbany, o tak lśniącej sierści, że wydawał się tu nie pasować. Wtem zza konia wyszedł wysoki biały mężczyzna. Wspaniale zbudowany, o ciemnej, skupionej i stanowczej twarzy, pooranej głębokimi zmarszczkami, o przesywających ciemnych oczach, z siwymi pasmami na skroniach. Lance'owi nie trzeba było mówić, że to Gene Stewart. Gdy Lance podjechał, zauważył najpierw rozluźnienie na surowej twarzy Gene'a, a potem uśmiech, który miło ją ocieplił, następnie żywe zainteresowanie zarówno jeźdźcem, jak i jego koniem.

¹ *Buenos dias, señor* (hiszp.) – Dzień dobry panu.

² *Señorita* (hiszp.) – panna, dziewczyna, panienka.

– Cześć, kowboju – ranczer powitał Lance’a przyjemnym, głębokim głosem. – Zaskoczyłeś ich.

– Kto... co? – zająknął się Lance. – Pan jest Gene Stewart?

– Tak, jestem Stewart. A ty?

– Lance Sidway. Szukam pracy.

– Dobrze... Czy to moja córka cię poleciła?

– Nie... prawdę mówiąc, proszę pana – odpowiedział Lance, przypominając sobie przemowę Starra, nagle przepełniony konsternacją i przerażeniem. – Nie znam pana córki.

– Możliwe, ale czy jej dzisiejszy powrót do domu nie ma czegoś wspólnego z twoim szukaniem pracy? – spytał Stewart, a w jego przenikliwych, bystrych oczach pojawił się błysk.

– Może, sądząc po zachowaniu poznanych przeze mnie arizońskich kowbojów – odpowiedział Lance, odzyskując równowagę, zauważwszy, że Stewart dobrze bawi się jego kosztem. – Ale nie w moim przypadku tak nie jest.

– Ach tak? No to w takim razie słucham.

– Oto mój list polecający – kontynuował Lance, podając pismo. Stewart otworzył je i przeczytał. Nagle rozpromienił się.

– Kumpel Starra, co? Na pewno nie możesz być w pełni taki, jak opisuje Ren, ale jeśli jesteś choć w połowie tak dobry...

– Przepraszam, panie Stewart – wtrącił pospiesznie Lance. – Nie mam zamiaru się wybielać. Starr nie zna mnie lepiej od pana. Poznałem go zaledwie ubiegłego wieczora! Od razu się polubiliśmy. Powiedział mi, że może mnie pan zatrudnić. Zaproponował list polecający.

– Rozumiem. To podobne do Rena. Zsiądź konia i wejdź.

Lance zeskoczył z siodła i puścił uzdę¹. Stewart zwrócił się do jednego z miejscowych chłopców, przyglądających się z podziwem koniowi:

– Pedro, daj mu pić i wytrzyj go z kurzu... Kowboju, masz wspaiałego konia. Nie dostrzegam w nim najmniejszej niedoskonałości.

¹ *Uzda* – ogłowie, część rzędu końskiego (sprzętu służącego do dosiadanania konia wierzchowego i kierowania nim), składająca się ze skórzanych pasków (m.in. policzka, podgardla, naczółka, nachrapnika) oraz metalowego kielzna (metalowej części ogłowia, do której są przymocowane wodze) z wodzami.

Każdy ranczer na Zachodzie dałby ci pracę, by mieć szansę go kupić lub ukraść.

– Umpqua jest niezrównany – odpowiedział Lance, gdy ranczer poprowadził go do miejsca na werandzie czegoś, co wyglądało jak sklep.

– Nels, chodź tu – Stewart zawołał w głąb szeroko otwartych drzwi starego budynku. Nie otrzymawszy odpowiedzi, rzekł ze skargą w głosie. – Nels jest pewnie z moją córką, ogląda jej konie. Kowboju, nie będzie ci łatwo zatrzymać tego konia.

– Och, rozumiem – roześmiał się Lance, zachwycony na myśl, że ranczer może go przyjąć. – Każda dziewczyna, która kocha konie, chciałaby, rzecz jasna, Umpqua, ale będzie musiała zabrać z nim i mnie.

– Stary kowbojski duch! Też kiedyś taki byłem... Skąd jesteś?

Lance krótko opowiedział o swoim domu w Oregonie, swych doświadczeniach na tamtejszych pastwiskach, skromnie wyliczając swe umiejętności i pomijając doświadczenie z Hollywood.

– Czy kiedykolwiek słyszałeś o tym pastwisku i moim ranczo?

– Tylko od Starra. Wspaniale byłoby móc tu pracować. Proszę dać mi szansę, panie Stewart.

– Naprawdę chciałbym – odpowiedział ranczer, uprzejmie, ale poważnie. – Kiedyś miałem najlepszą i najzacieklejszą ekipę na granicy. Ale czasy się zmieniły... Starr pisze w tym swoim liście, że płaca nie ma znaczenia.

– Chętnie zapracuję tylko na zakwaterowanie i wyżywienie.

– Jesteś bogaty?

– Dobry Boże, nie! Mam tylko kilka dolarów w kieszeni. I Umpqua. Chociaż tak, powinienem powiedzieć, że jestem bogaty.

– Sidway, nie mógłbym pozwolić ci pracować za darmo.

– Proszę pana, jeśli chodzi tylko o pieniądze, to niech to nie powstrzyma pana przed zatrudnieniem mnie – nalegał Lance.

– Powiedz prawdę. Polubię cię bardziej, jeśli przyznasz, że chcesz tę pracę ze względu na Madge.

– Madge! A kto to jest? Och, oczywiście, to pana córka... Panie Stewart, przysięgam na mój honor, że nigdy o niej nie słyszałem, aż do ostatniego wieczora, kiedy to Starr rozplęwał się nad nią w pochwałach.

– I to mogło wystarczyć. Typowy kowboj z ciebie. Wszyscy jesteście po jednym pieniądzu.

– Ale nie wystarczyło. To nic nie znaczyło. Nie zaprzętałem sobie teraz głowy kobietami.

– Nie kłam. Kowboje zawsze zaprzętają sobie głowy dziewczętami... Przyjmę cię, Sidway, i zapłacę ci kilka dolarów miesięcznie, dopóki interes z bydłem się nie poprawi.

– Dziękuję panu. Będę pracował najlepiej, jak umiem.

– Czy Ren wspominał, że do mnie wróci?

– Tak. Chciałby. Założy się, że to zrobi, jak tylko odłoży trochę więcej pieniędzy.

– Nie chciałbym na niego naciskać, ale z wami, młodymi, ciężko pracującymi, z waszą pomocą ja, Danny, i moi *vaqueros*¹ możemy uratować stado. Widzisz, Sidway, ostatnio mieliśmy do czynienia z dziwnymi kradzieżami bydła...

Stewartowi przerwał przyjemny, wysoki głos, dobiegający zza rogu werandy, z alejki.

– Nels...! Na Boga, spójrz na tego czarnego konia...! Och, cóż za piękność! Och! Och!

Brzęk ostróg² świadczył o powolnych krokach jeźdźca.

– No cóż, dziewczyno, nigdy wcześniej nie widziałem tego konia – rozległ się charakterystyczny głos, mówiący z przeciągającym, południowym akcentem. – Na pewno nie spodoba ci się, gdy powiem, że te twoje szkapy lichy się przy nim prezentują.

– Bzdura! Ale on jest... Chcę go, Nels. Zdobędę go nawet, jeśli będzie kosztować dziesięć tysięcy... Tato! Tato!

Stewart szepnął:

– Wyjdź i powiedz jej, że jest jeden koń, którego nie może mieć. Będzie zabawnie.

– Zapewne, proszę pana – odparł Lance, z powątpiewaniem, ale było to pierwsze polecenie od jego szefa, a ponadto był zaciekawiony

¹ *Vaqueros* (hiszp.) – kowboje.

² *Ostroga* – część oporządzenia jeźdźca ułatwiająca prowadzenie konia, przede wszystkim pobudzająca go do biegu.

całą sytuacją, a być może nawet tym słodkim głosem. Gdy zbliżył się do rogu, usłyszał tupot stóp. Potem pojawiło się zjawisko, które wpadło prosto w jego ramiona.

– Och! – krzyknęła i zachwiała się, upadłaby, gdyby nie złapała się zwinną dłońią Lance’a. Dziewczyna – bez nakrycia głowy – z rozwianymi złocistymi włosami – z uroczo zarumienioną twarzą, dziwnie znajomą – z oczami koloru fiołków, rozszerzającymi się ze zdumienia i ciemniejącymi! – A kto to, u licha...? Ty...! Co za historia! Przecież to mój bohater!

Lance rozpoznał ją. To była jego dziewczyna z przygody na kampusie i szalonej jazdy ulicami Los Angeles. Kiedy tak otoczyła go swym wesołym, radosnym szczebiotem, a jej czerwone usta zbliżyły się do jego twarzy, by obdarować go przyjemnie chłodnym, słodkim pocałunkiem, serce w nim zamarło.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!